Nr. 3. Poznan, Niedziela dnia 16 stycznia 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy	czteroraz. (miesięczn.)	„	15%,
„	kwartalnem 13 ×	„	25%,
„	półrocznem 26 ×	„	33 1/3 %,
„	rocznem 52 ×	„	50%.

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 97.**



Czytelniku! Czy zaagitowałeś pomiędzy znajomymi za „Pracą“, którą jeszcze zapisać można na poczcie na bieżący nowy kwartał?

Nr. 3. Poznań, dnia 16 stycznia 1910 r. Rok XIV

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . . 1,50
z odnoszeniem
do domu 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Wywłaszczenie.

W ostatnim czasie coraz częściej spotykać się można w prasie niemieckiej z pogłoskami, jakoby rząd zamierzał wyciągnąć konsekwencye z ustawy wywłaszczycielskiej, przyznającej komisyi kolonizacyjnej prawo wywłaszczania właścicieli ziemskich za wypłaceniem odpowiedniego pieniężnego ekwiwalentu.

Przed kilku tygodniami pisała w tej sprawie „Frankfurter Zeitung“. Obecnie berliński hakatystyczny organ apostatów, szowinistyczna wszechniemiecka „Tägliche Rundschau“, o której swego czasu „Koeln. Volks Ztg.“ utrzymywała, że jest jednem z tych pism, które w całości bywają przedkładane cesarzowi, donosi, iż na mającem się 19 bm. odbyć pełnem zebraniu komisyi kolonizacyjnej, w którem wezmą także udział naczelni prezesi W. Ks. Poznańskiego i Prus Królewskich oraz przedstawiciele ministerstwa, zapadnie uchwała przymusowego wywłaszczenia całego szeregu majątków polskich, zwłaszcza takich, których właściciele przebywają stale za granicą.

Ile w tej wiadomości prawdy, a ile zmyślenia, czy życzenie było tu ojcem myśli, czy informacya jest poprawna — niedaleka przyszłość pokazać musi.

W każdym razie nie godzi się lekceważyć takich głosów, tem mniej, że nie brak obfitych dowodów na to, iż bractwo hakatystyczne, tak wpływowe w Prusach, bynajmniej nie zadowala się samem przeprowadzeniem tej wyjątkowej ustawy i zawieszeniem jej jak miecza damoklesowego nad karkami ziemian naszych, lecz owszem bardzo stanowczo domaga się użycia tej broni, a nawet w gazetach swych raz wraz wskazywało niemal palcem na majątki, których wywłaszczenie za szczególnie pożądane uważa.

Co do nas, to od pierwszej chwili, gdy dyskusya na temat wywłaszczenia ujawniła się w prasie hakatystycznej, nie mieliśmy żadnych złudzeń, co do skutków ujadań hakatystycznych. Spodziewaliśmy się, że protegowany przez hakatystów projekt wywłaszczenia prędzej czy później ustawą się stanie, a gdy nareszcie te przewidywania się spełniły, oczekiwaliśmy akcyi wywłaszczycielskiej, boć trudno było zrozumieć, żeby rząd, przeprowadziwszy ustawę, która poruszyła cały świat cywilizowany od końca do końca, miał się wyrzec „korzyści“ z niej płynących, skoro wziął na szerokie swe barki gromy opinii powszechnej, ustawą tą do żywego oburzonej.

Wszakże nie brakło też i poszlak, że rząd w ostatniej chwili przeląkł się dzieła własnych rąk; zdawać się mogło, że miarodawcze koła w Prusach powoli zaczęły z niejakim krytycyzmem przypatrywać się mieczowi, który nam na pohybel ukuły, a który łatwo mógł zranić rękę tym mieczem wojującą. Pan Franciszek Morawski w znanej broszurze „Der kommende Tag“ nagromadził tyle druzgoczącego materyału dowodowego, praktyka dnia wykazała taki niespodziany i wprost nieprzewidziany przez nikogo rozrost apetytów zachłannych po stronie rozwydrzonego chłopstwa niemieckiego, które zaczęło się dopominać rozdziału ziemi, będącej także w niemieckiem posiadaniu, a również rozszerzenia swych wpływów na niekorzyść wielkich posiadaczy ziemskich, że konserwatystów strach obleciał. Zaczęto tedy na sprawę wywłaszczenia innemi patrzeć oczyma. W prasie, która nawiasem powiedziawszy bardzo szczegółowo omawiała pracę p. Fr. Morawskiego, zaczęły się pojawiać głosy krytyczne i ostrzegawcze. Nadszedł wreszcie czas reformy finansów rzeszy, czas rozbrzmiewający namiętnemi walkami stronniczemi, a płodny w donośne przeobrażenia polityczne, czas walki i niepokoju, nie sposobny do wszczynania w Prusach praktyki wywłaszczycielskiej, zresztą i pieniędzy na ten cel brakło i potrzeba nowych obszarów do rozkolonizowania nie była paląca.

Wszystko złożyło się snać na to, że wywłaszczenie, lubo uchwalone na drodze ustawodawczej i przez króla sankcyonowane, nie weszło w życie dotychczas. Powściągliwość ta uspokoiła początkowo nad miarę zaniepokojone społeczeństwo, a nawet stała się powodem zdaniem naszem nieuzasadnionych mniemań, które się coraz częściej uwydatniać poczęły, jakoby sprawa wywłaszczenia należała do rzuconych „między potępione“.

Sądząc ze stanowiska, jakie w sprawie wywłaszczenia zajmują hakatyści, którzy polityce antypolskiej zawsze jeszcze ton w Prusach nadają, nie należy oddawać się zbyt optymistycznym zapatrywaniom. Łatwo być mo-

że, że pogłoski, które obecnie rozpuszcza prasa hakatystyczna, okażą się tylko pogłoskami. Z drugiej strony jednak samo ich istnienie zdaje się dowodzić, że kwestyą wywłaszczenia zajmują się czynniki miarodawcze. Gdzie dym się ukazuje tam i ognia nie brak. Kiedy nas zaczną wywłaszczać i kto pójdzie na pierwszy ogień — tego oczywiście wiedzieć nie możemy, lecz z prawdopodobieństwem akcyi wywłaszczycielskiej powinniśmy się liczyć tak długo póki ustawa sama istnieje.

Jakkolwiek będzie, przyszłość nasza nie od ustawodawstwa pruskiego zależy, lecz od nas samych. Wywłaszczenie, jeżeli je zaczną stosować do nas, zadać nam może bolesne cięgi, może wpłynąć na dokonanie się pewnych przeobrażeń w społeczeństwie, lecz ani nas nie zuboży, ani nas nie zniemczy, ani też nie wyprze z granic kraju ojczystego. Póki istnieć będzie dla nas możność nabywania ziemi, póty wywłaszczenie będzie wprawdzie przykrą, lecz tępą bronią. Rozumieją to także hakatyści, przeto agitują za przeprowadzeniem dalszych środków ustawodawczych utrudniających Polakom samo nabywanie ziemi. Na początek zwraca się ta agitacya przeciwko swobodnej parcelacyi ziemi, a ponieważ apetyt przychodzi przy jedzeniu, skończy się najprawdopodobniej na agitacyi, mającej na celu absolutne uniemożliwienie Polakom nabywania własności ziemskiej wogóle. Do tego jednak jeszcze daleka droga. Projekty takie pojawiały się, lecz na razie widoków powodzenia nie mają.

Pokazuje się jednak, że obok tych możliwości istnieją jeszcze inne i to bardzo ciekawe. Mamy na myśli znamienny artykuł niejakiego pana von Kientza, opublikowany w „Preussische Jahrbücher,“ znanem wydawnictwie prof. Delbrücka. Pan ten zaleca ni mniej ni więcej jak wywłaszczenie niemieckich wielkich właścicieli w obrębie ziem polskich zamieszkałych i rozdzielenie ich ziemi pomiędzy niemieckich kolonistów.

Jest on bowiem zdania, że ziemia będąca w posiadaniu wielkich właścicieli niemieckich jest z imienia tylko niemiecką, w rzeczywistości zaś jest polską, gdyż ten charakter nadaje jej ludność robocza na tej ziemi zamieszkała. Przez rozdzielenie tej ziemi pomiędzy kolonistów niemieckich osiągnęłoby się to, że ziemia ta także de facto stałaby się niemiecką. Koloniści utworzyliby coś w rodzaju pasa ochronnego przeciw polszczyźnie i wytworzyliby taką przewagę niemieckiej kultury, że niebezpieczeństwo polskie na kresach byłoby zażegnane. Wypartych zaś z rozkolonizowanych ziem niemieckich robotników polskich należałoby osiedlać na włościach, będących dotychczas w posiadaniu właścicieli polskich. Tą drogą osiągnęłoby się zdaniem p. v. Kientza pokój narodowy w dzielnicach wschodnich, a także odpowiednie unormowanie cen ziemi. W każdym razie jest p. v. Kientz zdania, że tylko wywłaszczenie i rozparcelowanie pomiędzy kolonistów niemieckiej wielkiej własności do celu pożądanego tj. do wzmocnienia siły niemieckiej w dzielnicach polskich doprowadzić może.

Widzimy więc, że ustawa o wywłaszczeniu powoduje bardzo ciekawą dyskusyę i wywołuje projekty nader znamienne. Z jakiemi uczuciami ten artykuł czytać będą niemieccy wielcy właściciele ziemscy, którzy powiedzieć sobie muszą, że problemat uporządkowania kwestyi agrarnej, wentylowany dziś w dzielnicach polskich, będzie jutro domagał się rozwiązania w dzielnicach rdzennie niemieckich — nie trudno odgadnąć. Hakatystom nadto nieznośną będzie rzucona przez p. v. Kientza myśl równomiernego popierania przez rząd parcelacyi polskiej. Gdyby byli mądrzy, byliby bowiem już od samego powstania komisyi kolonizacyjnej popierali parcelacyę polską i głaskali chłopa polskiego miasto go drażnić i odstręczać przez ustawy osadnicze i przez krzywdę dopomagać do jego uświadomienia narodowego. Ale kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera. Dziś chłop polski w danym razie wziąłby ziemię od rządu, lecz duszą polską nie opłaciłby jej, jakby to się było działo w wielkich rozmiarach jeszcze za poprzedniej generacyi.

Jak widzimy sprawa wywłaszczenia narobiła naszym najserdeczniejszym dużo kłopotu. Gdyby można mieć zaufanie do rozumu rządzących, możnaby być spokojnym o wywłaszczenie. Niestety antypolską polityką nie rządzi tyle rozum, co namiętność i ta jest źródłem wszystkich tych błędów politycznych, które poczyniono od samego początku tej polityki jako i tych, które popełniono, aby pierwotne naprawić. Zatem ogół winien się z wywłaszczeniem liczyć jako z realnie grożącem niebezpieczeństwem. Jednostki zaś powinny działać i pracować tak jak gdyby tego niebezpieczeństwa wcale nie było, gdyż zbyt ono podobne do tej cegły, która może spaść z dachu, a dla której nikt rozsądny przecież nie wyrzeknie się przechadzki po ulicy...

Na widowni.

Na wschodzie Europy przygotowują się znowu ważne wypadki polityczne. Wprawdzie z każdą nadchodzącą wiosną, która tam wcześnie się rozpoczyna, nadchodzą wieści niepokojące, wszakże latoś nie grozi tam niebezpieczeństwo wojny podjazdowej w Macedonii, lecz poważny zatarg pomiędzy państwami słowiańskiemi a Turcyą, który może stać się ostatnim obrachunkiem, jaki Słowiańszczyzna południowa ma do załatwienia z jednym ze swoich wrogów, który krwawo jej dawał się we znaki od całego szeregu wieków.

Obrachunek ostateczny tym sposobem mógł przyjść do skutku, że Serbia i Bułgarya zaniechały swych sporów o Macedonię i że uprzednio co do podziału tego kraju nastąpiło między niemi porozumienie.

Szczegół, że tego porozumienia nie było, że Serbia chciała posieść całą Macedonię i Bułgarya również całą, nie pozwalał obu państwom słowiańskim połączyć swych sił w walce z Turcyą.

Co więcej, nietylko, że o połączeniu nie było mowy, istniało nawet niebezpieczeństwo, że w razie wojny z Turcyą, jedno z nich stanęłoby może po stronie Turcyi.

Dziś stosunki się zmieniły.

Naród serbski po zabraniu i wcieleniu do monarchii austryacko-węgierskiej najpiękniejszych ziem serbskich, jakiemi są opiewane w poezyi serbskiej Bośnia i Hercogowina, doświadczył boleśnie na sobie jakiem nieszczęściem jest dla każdego narodu słowiańskiego brak solidarności i zwalczanie się wzajemne.

Serbowie doświadczyli tego świeżo, czem całe dzieje Słowian zachodnich wypełnione, więc postanowili pogodzić się z Bułgarami.

Dowodem tego pogodzenia było zamknięcie szkół serbskich w południowej Macedonii, poczem nastąpiło zamknięcie szkół bułgarskich w Macedonii północnej. Serbowie zrzekają się tym sposobem wilajetu soluńskiego i monastyrskiego, Bułgarzy, Skoplia i Prizrema.

Macedonia przestaje być jabłkiem niezgody pomiędzy obu szczepami bratnimi i znika przyczyna rozdwojenia.

Teraz oba narody mogą rozpocząć akcyę wspólną przeciw Turkom, pewni poparcia Czarnogóry i wszystkich Sło-

wian, znajdujących się pod rządami Turków.

W zeszłym tygodniu poraz pierwszy poczęły tureckie gazety pisać o niebezpieczeństwie, grożącem Turkom i równocześnie podały wiadomości o licznych zamówieniach broni i amunicyi dla Bułgaryi, poczynionych w Belgii.

Chwila obecna była chwilą już dawno z upragnieniem oczekiwaną przez prawdziwych patryotów serbskich i bułgarskich; wojna z Turcyą i wypędzenie Turków z Europy, jest ideałem dla każdego Słowianina bałkańskiego; skoro nadeszła możność tej wojny, zapewne nikt tam długo wahać się nie będzie z jej rozpoczęciem.

Zapewne politycy słowiańscy rozważyli sobie dokładnie, jakie stanowisko zajmą wobec tych wypadków Austrya, Rosya w pierwszym rzędzie, dalej Niemcy, Włochy i Anglia.

Austrya jest stanowczą przeciwniczką wzmożenia się państw słowiańskich na Bałkanach, ponieważ silne państwo serbskie posiadać będzie urok dla Serbów austryackich i ponieważ po obaleniu Turcyi skończyłaby się nazawsze misya Austryi na Wschodzie.

Czyby jednakowoż Austrya zaryzykowała wojnę z Serbią i Bułgaryą w obronie Turcyi, to więcej niż wątpliwe.

Wojna taka stałaby się bez wątpienia początkiem wielkiej wojny europejskiej, katastrofy, której chcą wszyscy uniknąć.

Kto wie, czy o tem grożącem Austryi niebezpieczeństwie nie wiedzą Madziarzy, rzucający tak śmiało rękawicę w twarz Niemcom austryackim!

W tygodniu ubiegającym oświadczył Justh, przywódca opozycyi madziarskiej, że żąda zupełnego rozdziału Węgier od Austryi, że Madziarzy chcą posiadać własną armię, gotową pójść do boju tam, dokąd ją powoła interes madziarski, że od Austryi chcą odgraniczyć się cłami, jak od państwa zupełnie obcego i że jedynym łącznikiem pomiędzy nimi a Austryą ma być osoba monarchy.

Gdyby monarcha austryacki miał się na te żądania zgodzić, wówczas Austrya wymazaną zostałaby z rzędu wielkich mocarstw i oddaną na łup każdemu z państw sąsiednich.

W Anglii, zapatrującej się dość trzeźwo na stosunki obecne, panuje przed wyborami do parlamentu również usposobienie, świadczące jaka niepewność jutra owłada światem.

Mówi się, że Anglicy dlatego straszą się wojną bliską z Niemcami, bo stronnictwo konserwatywne chce zwalczyć liberałów usposobionych pokojowo.

Mając wszakże na uwadze, jak trzeźwo patrzą w świat Anglicy, jak wielkie jest wśród nich zrozumienie polityki, niepodobna przypuszczać, ażeby można Anglików straszyć jak naród nieoświecony wymysłami, nie mającemi z rzeczywistością nic wspólnego.

Gazety angielskie donoszą, że na każdym plakacie, któremi oblepione do pierwszych pięter domy, widnieją napisy, jak: baczność przed Niemcami! wojna z Niemcami! itd.

Najwybitniejsi politycy angielscy czynią wszystko co w ich mocy, ażeby ogół przekonać o wielkości niebezpieczeństwa i nakłonić go do ofiar na cele zbrojenia.

Od wyniku wyborów w Anglii zależeć będzie bez wątpienia kierunek w jakim pójdzie najbliższa polityka światowa.

Nie grozi wprawdzie Niemcom ze strony Anglii bezpośrednio wojna, ponieważ Anglicy mając własny interes na oku, zadowoliliby się zobowiązaniem Niemiec, że dalszych zbrojeń na morzu nie przedsięwezmą i flotę zmniejszą, wszakże zachodzi pytanie, czy Niemcy przyjęłyby to upokarzające dla siebie zobowiązanie, które pozbawiłoby je w oczach innych mocarstw respektu, jaki dotychczas posiadają.

Z TEATRU.

Świat na opak. Taki jest tytuł „operetki,“ którą zeszłej środy dano na uczczenie i dochód technicznego kierownika naszej sceny p. Majewskiego, który na dniu tym obchodził 25-tą rocznicę swej pracy zawodowej.

Sukces kasowy był zupełny, gdyż widownia była tak dalece przepełniona, że nawet krzesło referenta teatralnego naszego pisma było zajęte. Po zakończeniu pierwszego aktu urządziła drużyna artystyczna bardzo serdeczną owacyę jubilatowi, wręczając mu wieńce i upominki na otwartej scenie po stosownej przemowie p. Czerniaka. Miło i nam przy tej sposobności powinszować szanownemu jubilatowi i życzyć, by doczekał szczęśliwie złotego jubileuszu. Lecz smucić się musimy, że dyrekcya wprowadziła do repertuaru taką „bombę“ — wybaczcie szanowni czytelnicy to wyrażenie, — jak ów nieszczęsny „Świat na opak.“ Jestto ordynarny, płaski, bezsensowny fabrykat tak pod względem literackim jak muzycznym, rzecz, którą szanująca się scena wystawiać pod żadnym warunkiem nie powinna. Szczerze też żal nam było p. Eichstaedta, którego cenimy jako poważnego i wytwornnego muzyka, a któremu padło wątpliwej wartości zadanie: wćwiczenie tej nędzy muzycznej i dyrygowanie niefortunnym spektaklem, z czego zresztą wywiązał się należycie.

Gdyby nas kto spytał, co najżywszy w nas na przedstawieniu wzbudziło niesmak, to nie wyliczalibyśmy żadnego z tych głupich i tłustych „dowcipów“ i jednoznaczników, lecz wskazalibyśmy na owo — dla naszego przynajmniej uczucia — wprost oburzające trio, śpiewane z powodu rzekomej śmierci dziecka. Nie umiemy tego inaczej nazwać, jak obrażającą wszelkie ludzkie uczucia niestósowności. Należało się spodziewać, że reżyserya skreśli ten wprost ohydny „kawał.“ Niestety stało się inaczej.

Zresztą wystawiono rzecz efektownie i grano ją odpowiednio. Poprzebierani w żeńskie suknie mężczyźni, którzy w „Świecie na opak“ spełniają wszelkie te obowiązki, które na naszym planecie wykonują kobiety (tylko rodzenie dzieci pozostało i tam radosnym przywilejem kobiet) — dość komiczne sprawiali wrażenie. Rozmaitego kalibru i kształtu nogi kobiece rozmaicie się wydawały w trykotach. Wspaniały wprost widok przedstawiały obnażone bary p. Lewicza...

O ile sztuce samej kadzideł palić nie możemy, z tyle większą przyjemnością przychodzi nam wspomnieć o wielce sympatycznej i prawdziwie artystycznej dywersyi, jaką sprawiły znakomite choreograficzne produkcye pp. Faliszewskich.

Stanowiły one jedyną prawdziwie godną widzenia rzecz na przedstawieniu...

R.

W sobotę dawano dramat Maksa Dreyera pt. „Na progu młodości.“ Nie mogąc być na premierze, podążyliśmy do teatru we wtorek na drugie przedstawienie. Niestety z powodu choroby p. Bogusińskiej, która w sztuce Dreyera jedną z głównych ról przedstawia, dawano zamiast sztuki Dreyera „Idealistów“ Perzyńskiego. Tem się tłumaczy, dla czego o sztuce tej nie podajemy referatu.

Wykradamy kobietę, narażamy nieraz życie dla niej, nakoniec się żenimy, a potem dalibyśmy nie wiedzieć co za to, żeby ją nam kto ukradł.

Stanisław Bogusławski.

Klasztor OO. Reformatów w Poznaniu.

Skreślił

Dr. Stanisław Karwowski.

6)

(Ciąg dalszy).

Za Eleazara Świerczyńskiego złożyli w kościele reformackim wyznanie wiary katolickiej: 24 letnia Elżbieta Schultzin z Brandenburgii, 15 letni Michał Kachie z Skórzewa, 18 letnia Eufrozyna i 15 letnia Rozyna Wilwonin, Niemki z Dąbrówki, 40 letni Krzysztof Schneider z Prus, przysposobieni przez O. Piotra Kuzella, oraz Jan Godfryd Donat, piwowąr z Kobylopola, Jan Harr, złotnik wrocławski, który ożenił się z córką doktora medycyny Lubienieckiego i zamieszkał w Poznaniu, wreszcie 20 letni introligator Karol Maciej Meller, syn pastora luterskiego z Gdańska, przysposobieni przez Waleryana Kautego, lektora ś. teologii.

Za następnego gwardyana *Wojciecha Gołeckiego* (1760—1763), lektora ś. teologii, bardzo znacznie pomnożyły się aparaty kościelne dzięki ofiarności przedewszystkiem *Doroty z Działyńskich Czapskiej*, kasztelanowej chełmińskiej, *Wiktoryi z Skaławskich Lipskiej*, kasztelanowej łęczyckiej (um. 1784 w Kobylopolu), *Krzyckiej*, starościanki żelegniewskiej, i *Stefansowej* z Konarzewa. Część posprawiał sam gwardyan, który nadto wystawił z drzewa nowy ołtarz N. P. Maryi.

W r. 1760, dnia 8 kwietnia umarł w klasztorze *Teodor Dyxiński*, definitor prowincyi, z księdza świeckiego Reformat, prefekt studyów, niegdyś gwardyan w Szczawinie, autor dzieł teologicznych, mąż niezwykłej cierpliwości i pobożności. W tymże roku dnia 30 grudnia zakończył życie w klasztorze *Mikołaj Filipowicz*, kaznodzieja, z Bernardyna Reformat.

Gdy w r. 1762, dnia 27 września odbywała się wspaniała eksportacya z Konarzewa przez Poznań do Pakości zmarłej przy połogu w 17 roku życia Michałowej z Działyńskich Czapskiej, wojewodziny malborskiej, a kondukt zatrzymał się przed kościołem reformackim, wygłosił mowę Reformat Ludwik Rejowski, kaznodzieja katedralny.

Za Gołeckiego przeszli na katolicyzm w kościele reformackim 20 letnia Anna Millerin z Brandenburgii, 43 letni płóciennik Jan Russ, Polak z Swarzędza, 48 letni Jakób Daszkowski z Sandomierskiego, Rusin Grzegorz i 20 letnia panna Krystyna Grigerin z przedmieścia gdańskiego Szotlandu, zostali zaś tercyarzami Franciszek Rudziński, dworzanin biskupi, Ludwika Duninówna i inni.

Następny gwardyan *Telesfor Stock*, lektor ś. teologii, (1763—1765), mąż bardzo zręczny i dobrodziejom miły, przedsięwziął liczne reparacye w klasztorze, na które wydał 1251 złp.

Za niego złożył wyznanie wiary katolickiej w kościele reformackim 36 letni Jan Nagiel z Śląska, zostali zaś tercyarzami Skórzewska z córką, Jakób Sarnowski, posesor Strzeszynka, wdowa po nim Jadwiga Sarnowska, Antoni i Maksymilian Trąmpczyńscy, Cecylia Pawłowska, chorążyna michałowska, Eleonora Sobieska z dworu kobylopolskiego i inni.

Następca Stocka *Jakób Wolski*, exdefinitor, (1765—1766), rządził przez dwa lata klasztorem po ojcowsku, pełen „serafickiej miłości“, i pomnożył bibliotekę klasztorną, a między innemi nabył kazania Pijara Samuela Wysockiego.

Za Wolskiego zostali katolikami, przysposobieni przez O. Piotra Kuzella, 24 letnia Eleonora Wochnerin z Saksonii, mężatka, i Stefan Eicholt ze wsi Sagonnic, Jan Hennich Sas, szlachcic Jan Brzeziński z Dąbrowy, tercyarzami zaś Franciszek Bronikowski, Jakób Ciecholewski, Regina Jagodzińska z Poznania i inni.

O. Kuzell, niezmordowany spowiednik, umarł w 60 roku życia w klasztorze poznańskim 1 lutego 1768 r.

Następny gwardyan *Ludwik Wrześniewski*, ex-definitor, (1768—1769) wzorowy, bardzo pobożny zakonnik, posprawiał dużo potrzebnych sprzętów.

Następca Wrześniewskiego *Kalikst Sulkowski*, lektor ś. teologii, (1769—1770) nie tylko niejedno nabył do kuchni i zakrystyi, ale i kilka dzieł do biblioteki i to *Dni Skarbowe* ks. Antoniego Szermy S. J., *Król bolesny Chrystus Zbawiciel* ks. Stefana Ponińskiego S. J., tegoż *Król nieba i ziemi Chrystus Zbawiciel*, *Kopia starożytnych oryginałów o ś. Anotnim Padewskim* ks. Hieronima Grzeszeckiego, *Kazania doroczne na niedzielę* ks. Benedykta od ś. Józefa Schol. Piarum, *Kazania na roznych publikach* ks. Jana Franciszka od ś. Józefa Schol. Piarum, *Nowy głos ks.* Ignacego Anioła zakonu ś. Pawła pustelnika, *Niedziele kaznodziejskie* ks. Bielickiego S. J., *Trigenarius labor manuscriptus* ks. Antoniego Krocimskiego i inne.

Kosztem *Ludwika Roszkowskiego*, dziedzica Kotlina, wzniósł Sulkowski kamienną kolumnę z posągiem P. Maryi Niepokalanego Poczęcia nad drogą, prowadzącą z Zawad do miasta.

W r. 1769 umarła *Joanna Rozalia Malczewska*, ksieni owińska. Egzekwie odbyły się w Owińsku 14 stycznia. Przybyło na nie w wielkiej liczbie duchowieństwo świeckie i zakonne, dwóch opatów cysterskich, kanonicy katedralni i kolegiaccy. O 4-tej rano rozpoczęli *officium defunctorum* OO. Reformaci, po nich inni zakonnicy i tak aż do mszy solennej, którą celebrował Iłowiecki, opat lędzki i komisarz klasztoru owińskiego, mowę zaś wygłosił kusztosz OO. Bernardynów poznańskich. Zmarła była szczególniejszą dobrodziejką OO. Reformatów, dostarczając im zboża, piwa i drzewa na opał. W miejsce jej obrano ksienią *Brygidę Gurowską*, która również jak jej poprzedniczka odznaczała się hojnością względem OO. Reformatów poznańskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odezwa do wszystkich robotników i rzemieślników w państwie niemieckiem.

Rodacy! Wniesione interpelacye w parlamencie niemieckim w sprawie biur stręczeń pracy nie odniosły tego skutku, jakiego się ogół robotników po nich spodziewał. Rząd, po którym się spodziewano, że da zapewnienie, iż w najkrótszym czasie postara się o prawne uregulowanie stręczenia pracy, stanął po stronie pracodawców i poniekąd postępki ich pochwalił. Obrady w parlamencie niemieckim wykazały, że oprócz kilku posłów, którzy sprawę robotniczą popierają, robotnicy nigdzie nie mają poparcia, tylko są wskazani na własne siły i organizacye zawodowe.

Jesteśmy zdania, iż robotnicy nie powinni być żadnemi biurami stręczeń pracy krępowani, tylko ma im być wolno ofiarować swe siły temu, któremu się im podoba. Jeżeli jednak rząd nie chce pracodawcom w tworzeniu jednostronnych biur stręczeń pracy przeszkodzić, muszą robotnicy wybrać mniejsze zło i domagać się utworzenia biur stręczeń pracy na podstawie parytetycznej. Na jakich zasadach te biura mają być oparte, chcemy Wam, kochani Rodacy, wykazać w niżej podanej rezolucyi:

„By załagodzić istniejące naprężenie pomiędzy pracodawcami i pracobiorcami i zapobiedz nieuniknionej walce, która może doprowadzić do ruiny całego życia gospodarczego, wzywa się miarodajne czynniki prawodawcze, aby stręczenie pracy zostało w następujący sposób uregulowane:

1) Każda gmina, licząca przynajmniej 5000 mieszkańców, jest prawnie zmuszona do utworzenia biura stręczeń pracy (urzęda robotnicze). Mniejsze gminy powinny się połączyć i utworzyć wspólne takie biuro. W biurach stręczeń pracy powinny istnieć oddziały dla poszczególnych zawodów. Za przyzwoleniem rady związkowej lub władzy centralnej można utworzyć czysto zawodowe biura stręczeń pracy.

2) Wszystkie biura stręczeń pracy powinny być na podstawie parytetycznej utworzone.

3) Zawiadowcą takiego parytetycznego biura stręczeń pracy powinien być bezpartyj-

ny przewodniczący, obrany przez gminę. Prócz przewodniczącego muszą w takiem biurze zasiadać przedstawiciele związków pracodawców i robotników z tem zastrzeżeniem, że każda organizacya czysto robotnicza będzie miała swojego przedstawiciela.

4) Publicznym biurom stręczeń pracy muszą się poddać tak pracodawcy, jak robotnicy, podpadający prawu procederowemu, tytuł VII. i tylko temi biurami wolno im się posługiwać. Kierowników biur winno się zobowiązać, żeby robotnikom po kolei, jak się po pracę zgłosili, takową też wskazano.

5) Koszta utrzymania biur stręczeń pracy ponoszą do połowy gmina i państwo.

6) Tworzenia jednostronnych biur stręczeń pracy zakazuje się. Wszystkie dotychczas istniejące jednostronne biura stręczeń pracy powinny podledz państwowej rewizyi i przy znalezieniu takich nieporządków, jakie zaszły w Mannheimie i Ludwigshafen, powinno się je rozwiązać, inicyatorów zaś i kierowników takich biur powinno się pociągnąć do odpowiedzialności za czyny, sprzeciwiające się dobrym obyczajom.“

Jedynie na podstawach przez nas określonych utworzone biura stręczeń pracy mogą załagodzić przeciwieństwa istniejące pomiędzy pracodawcami i pracobiorcami. Tworzenie jednostronnych biur stręczeń pracy według systemu hamburskiego doprowadzi jedynie do jeszcze większego rozgoryczenia i nieuniknionej walki.

Odzywamy się do członków Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, żeby wszędzie zakładali protesty przeciw pogwałceniu wolności przenoszenia się z miejsca na miejsce. Odwołanie nasze nie odnosi się tylko do samych górników, lecz do wszystkich warstw robotniczych, tak w kraju, jak na obczyźnie. Zamiary pracodawców są daleko idące, nie chodzi im bowiem tylko o zgniecenie ruchu robotniczego pomiędzy górnikami, lecz pomiędzy robotnikami wszystkich zawodów. Chcą oni całe państwo niemieckie opasać siecią jednostronnych biur wskazywania pracy i zniszczyć organizacye robotnicze.

Wiadomem jest, że kto opanuje rynek pracy, w tego rękach spoczywa cały ustrój gospodarczy. Jeżeli więc robotnicy do tego dopuszczą, że kapitaliści na rynku pracy wszechwładnie zapanują, natenczas staną się średniowiecznymi niewolnikami i zabawką w ręku potężnego kapitału.

Rodacy! Zamach kapitalistów będzie można tylko wtenczas skutecznie odeprzeć, jeżeli wszyscy robotnicy będą zorganizowani.

Zarząd Centralny Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

Wiadomości.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechniać gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy“ zachęcali. „Praca“ jest najodpowiedniejszem dla rodzin illustrowanem pismem tygodniowem.

„Pracę“ wciąż jeszcze zapisywać można na poczcie na bieżący kwartał.

— Czytelników naszych prosimy uprzejmie, ażeby przy wszelkich zakupnach powoływali się zawsze na inseraty, zamieszczone w „Pracy.“

— Na fundusz czytelników „Pracy“ dla Towarzystwa Czytelni Ludowych złożyli w dalszym ciągu pp. W. Kmieciak z Zabrza 1 mrk.; Jan Jurkiewicz i Józef Smerek z Recklinghausen po 25 fen., ks. Dalbor z Konar 25 fen. R. Myśliwczyk z Bytomia 2 mrk., S. Radecki z Poczdamu 70 fen. Tomczek z Eickel 25 fen., N. N. z Młynkowa 1 mrk., ks. Przybyszewski ze St. Kiszewa 25 fen., W. Berek z Volprihausen 2 mk., ks. Janiszewski z Seretu 25 fen., M. Czerkaski z Parlina 3 mk., J. Kołdonek z Szarleju 30 fen., I. Nowak z Bodzewka 20 fen., M. Bątkiewiczówna z Janiszewa 1 mk.

O dalsze nadsyłanie składek na cel powyższy gorąco prosimy.

— Na pomnik Słowackiego w Poznaniu odebraliśmy od „Gniazda Sokołów“ z Freisebrust w Westfalii 7 mrk. 50 fen. Kwotę tę doręczyliśmy komu należało.

— Wystawa zbiorowa dzieł Fałata w salonie Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych (przy ul. Bismarka 8.) wzbudziła zaraz w pierwszym dniu niezwykle zainteresowanie zarówno malarską doskonałością artystycznego wykonania, jak i bogactwem oraz oryginalnością motywów. 40 płócien Fałata zajmuje całą przestronną świetlicę, oraz salonik za świetlicą. Pozatem znajdują się na wystawie obrazy Dory Mukułowskiej, Płonowskiej i Pronaszki oraz rzeźby Brzegi, Glicensteina i Marcinkowskiego.

Wystawa otwarta od 10—6-tej, w niedzielę i święta od pół do 12—4tej. Wstępne wynosi 50 fen., dla młodzieży 25 fen. Towarzystwa, zwiedzające wystawę zbiorowo, mają ceny zniżone.

— Walne zebranie roczne Towarzystwa wydawców polskich odbędzie się w Poznaniu w niedzielę dnnia 16-go stycznia o godz. 4-tej po południu w redakcyi „Dziennika Poznańskiego.“

Porządek obrad:

1. Zagajenie i wybór przewodniczącego.
2. Sprawozdanie sekretarza i skarbnika.
3. Komunikaty zarządu.
4. Sprawa niestosowania się członków do ustaw Towarzystwa.
5. Wniosek Towarzystwa dziennikarzy i literatów na Rzeszę niemiecką o popieranie przez Towarzystwo wydawców kasy emerytalnej Towarzystwa dziennikarzy.
6. Wybór członków zarządu.
7. Wnioski.

Ks. Wawrzyniak, przewodniczący. **Roman Leitgeber,** sekretarz.

— Poznań—Wilda. Wildeckie Towarzystwo Przemysłowców odbyło we wtorek, dnia 4-go stycznia r. b., w lokalu p. Szymańskiego przy ul. Strumykowej swe roczne walne zebranie. Zagaił je prezes p. Kamiński, i powołał za zgodą zebranych na przewodniczącego p. Skorupskiego.

Ze sprawozdań za rok 1909, odczytanych na zebraniu przez poszczególnych członków Zarządu, podajemy co następuje: Zebrań odbyło Tow. 26, na których wygłoszono 5 odczytów i 4 wykłady; stan kasy przy końcu r. 1909 wynosi! 1486.79 mrk. w bibliotece znajduje się 319 tomów; członków liczy Tow. 67.

Do Zarządu wybrani pp.: J. Kamiński, prezes, St. Dobrowolski, zast. prezesa, J. Budasz, sekretarz, Fr. Magdziasz, skarbnik, Marzyński, bibliotekarz, K. Budasz i Kiełpiński, radni.

Kostrzyn. Tutejsze Towarzystwo Koła śpiewu kościelnego urządza w niedzielę dnia 16-go b. m., na sali pana Manuszaka teatr amatorski. Odegranym będzie melodramat ze śpiewami i tańcami w 3 aktach p. t. „Gałganduch czyli Trójka hultajska.“ Dochód przeznaczony na cele dobroczynne. Początek przedstawienia o godzinie 7 i pół. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Zarząd.

Katowice, d. 10. 1. 1910. Ponieważ z powodu artykułu „Schles. Zeitung“ z dnia 4. b. m. wzywającego do bojkotu naszej spółki, powstaćby mogło mniemanie, jakobyśmy węgla górnośląskiego dostarczyć nie mogli, pozwalamy sobie donieść, że dostarczamy każdej ilości węgla z kopalń górnośląskich po cenach takich samych, jak konkurencya niemiecka.

Export Śląski.

Drezno. Staraniem polskich Towarzystw: Przemysłowego, Koła śpiewackiego i ogrodników „Flora“ w Dreźnie odbędzie się w niedzielę, dnia 16-go stycznia 1910 r. punktualnie o godz. 7 wieczorem na sali Domu katolickiego (Katholisches Gesellenhaus), ulica Kauferstrasse nr. 4 przedstawienie amatorskie połączone z redutą karnawałową. Odegranem będzie: „Drzemka Pana Prospera“. Komedya w 4 aktach.

Upraszamy jak najuprzejmiej Szanownych Rodaków zamieszkałych w Dreźnie i okolicy o łaskawe zaszczycenie nas Swojem przybyciem; — żywimy nadzieję, że cała Polonia uczestnictwem Swojem przyczyni sie do uświetnienia tej zabawy.

Komitet zabawowy.

Praga Czeska. Obchód 30-lecia „Ogniska Polskiego w Pradze“ odbędzie się w sali „Mestanske besedy“ w Pradze (ul. Jungmannova-Vladislavova) w niedzielę d. 16-go stycznia r. b. Początek o godz. 10 i pół rano. Tegoż dnia o godz. 7 wieczór w tej samej sali odbędzie się Przyjacielski wieczorek.

Nekrologia.

† Ś. p. ks. Jan Wiśniewski, proboszcz w Czaczu, senior i asesor dekanatu kościańskiego, dnia 4-go b. m. w 76-ym roku życia, a 50 kapłaństwa. — Ś. p. **Antoni Tomaszewski,** dnia 7-go b. m. w Świdnicy. — Ś. p. **Teodor Jankowski,** emerytowany urzędnik gospodarczy, dnia 9-go b. m. w Ratajach pod Poznaniem, przeżywszy lat 77. — Ś. p. **Helena Jankowska z domu Palczewska,** żona ś. p. Teodora Jankowskiego, zmarła w dzień po śmierci męża, przeżywszy lat 72. Pogrzeb obojga odbył się równocześnie dnia 13-go b. m. — Ś. p. **Władysława Nawrocka,** dnia 6-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 36. — R. i. p.

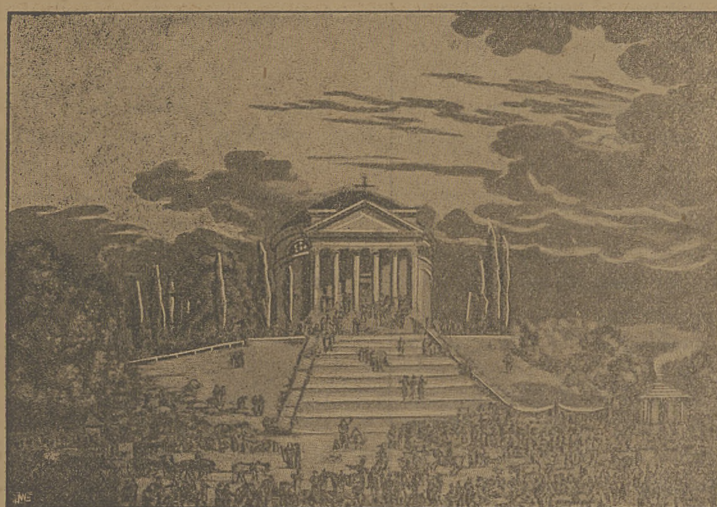
Od Redakcyi.

Panu F. Kl. w Pl. — Polska fabryka papierów listowych: W. Niemojewski i Sp. we Lwowie. Niemieckie: Fritz Voigt et Co. Berlin Elisabethufer 5—6. R. L. Schultze Berlin, Puttkamerstr. 19. Klickermann et Co., Wrocław Brettschneider i Graeser Berlin, Komandantenstr.

Panu J. W. w A. — W tej sprawie poinformuje Szan. Pana Redakcya „Przemysłowca“ w Poznaniu.

Z ojczystych stron.

PUŁAWY.



Kościół w Puławach w początkach wieku XIX.

I.

Puławy, miasto, położone w gubernii lubelskiej w Królestwie Polskiem w uroczej dolinie nadwiślańskiej, na stromym, prawym brzegu Wisły, przy drodze z Lublina do Radomia, liczy przeszło 10,000 mieszkańców. Puławy zasłynęły z końcem XVIII wieku jako świetna rezydencya książąt Czartoryskich. Czem była ta miejscowość w życiu naszem umysłowem, społecznem i kulturalnem, niech powiedzą liczne monografie. O tem zaś, czem może być miłość dla rodzinnej ziemi, niech zaświadczą ocalałe szczątki muzealne.

Szereg licznych monografij Puław powiększyła świeżo książka z rycinami, napisana przez Władysława Jankowskiego, a wydana nakładem Macierzy Polskiej we Lwowie, z której następujące zamieszczamy wyjątki:

Idąc wzdłuż Wisły z Warszawy do Sandomierza, widzimy z obu stron rzeki coraz szersze płaszczyzny. To równina Mazowiecka. Piasku na niej wiele, zieleń blada, zrzadka tylko rosną tu lasy sosnowe.

Ale im dalej, tem więcej drzew się spotyka: to iglaste, to liściaste, a nad Wisłą królują olbrzymie topole nadwiślańskie.

Potem grunt zaczyna falować; z płaszczyzny wyrastają wzgórki, krajobraz się zmienia i staje się malowniczy. Jesteśmy już na wyżynie Lubelskiej.

Wisła płynie nieraz głębokimi jarami, wśród skalistych brzegów. Czasem rozdziela się na dwa koryta, albo też odnogą swoją głęboko wrzyna się w ląd i tworzy tak zwane „łachy“.

Na takim brzegu, porozrywanym jarami i nad malowniczą łachą wiślaną, leży w dzisiejszej gubernii Lubelskiej miasteczko Nowa Aleksandrya.

Któżby odgadł, że to dawne Puławy, niegdyś własność książąt Czartoryskich?!

Ze zmianą nazwy zmieniło się tu wszystko. Po r. 1830 dobra puławskie rozsprzedano lub puszczono w dzierżawę, pałac i park opustoszały, prześliczne i bogate zbiory wywieziono i w części weszły one w skład obcych zbiorów, częścią wcielono je do innych muzeów, pozostających dotąd jeszcze w polskich rękach. — Później pałac i inne zabudowania zamieniono na budynki szkolne, pozbawiono cech stylowych i dzisiaj nic już prawie nie przypomina dawnej postaci pałacu i parku. — Jedno zmienione, drugie w gruzach.

Obszerny park jest dzisiaj miejscem spacerowem. Olbrzymich drzew, jakich mnóstwo było dawniej, coraz mniej. Niedawno ścięto stary kasztan, który miał pięć metrów w obwodzie. — Ale pozostały jeszcze olbrzymy godne widzenia: lipa, albo dąb staruszek o sześciometrowym obwodzie. Jest tu jeszcze aleja lipowa, są sady owocowe, ogrody warzywne, jest pałac, zwany „Marynkami“ i kolonia „Mokratki“, gdzie dzisiaj studenci mieszkają.

W parku spotykamy jakiś budynek — mówią nam, że to „świątynia Sybilli“; niedaleko druga ruina — to „domek gotycki“. Ściany pokaleczone, widocznie wyłupano z nich jakieś kamienie, cegły...

Znamy te nazwy, słyszeliśmy nieraz o świetności Puław, to też patrząc dzisiaj na ruiny, smutnie pochylamy głowę i myślą ulatujemy w przeszłość.

Inaczej było tu przed laty!

Pałac stał, jak stoi, na wzgórzu, łagodnie pochylonem ku łasze wiślanej, ale inaczej wyglądał, niż dzisiaj.

Korpus pałacu był prostokątny, o dwóch piętrach. Od południa miał dwa pawilony i cztery boczne wieże. Na froncie pałacu był wielki ganek, utworzony przez olbrzymie schody kamienne, które wiodły z obu stron budynku na pierwsze piętro.

Wchodzimy do wnętrza. Naprzód roztwiera się przed nami ogromna sień, wyłożona płytami kamiennemi, wsparta na kolumnach w stylu doryckim. Drzwi na lewo wiodły do mieszkania księżnej Czartoryskiej, na prawo do biblioteki. Tuż obok sieni był salon nieforemny, ozdobiony płaskorzeźbami, które przedstawiały postaci różnych bożków greckich. „W salonie tym straszy!“ — opowiadali sobie dworzanie: — „w nocy bożki schodzą ze ściany, grają na fujarkach, trąbkach i tańczą.“ — Ale któżby bajkom wierzył!

Na pierwszem piętrze była wielka sala jadalna, obok niej piękna sala „biała“, bo ozdobiona białemi sztukateryami. Dwa duże, staroświeckie kominy, w które nieraz sąg drzewa wlezie, ogrzewały tę komnatę. Nad kominami wisiały portrety, w sali stał bilard, stoliki do gry w szachy, wielki, okrągły stół, przy którym siadywano na wieczorne pogawędki.

Z tej sali szło się do pokoju „chińskiego“, ozdobionego na sposób chiński. Tu urządzono kaplicę pałacową, w której odbywały się niedzielne nabożeństwa. Obok chińskiej była sala „złota“, ogromna, o niezwykłych kształtach. Zdobiły ją olbrzymie zwierciadła, sute złocenia i piękne malowidła. Tu zwykle odbywały się bale i przyjęcia. Złota i chińska sala miały wielkie okna, sięgające aż do podłogi balkonu, a z balkonu prześliczny roztaczał się widok na Wisłę, hen daleko... aż do Kazimierza.

Na pierwszem piętrze były też „pokoje cesarskie“, nazwane tak dlatego, że mieszkał w nich cesarz Aleksander, podczas swego pobytu w Puławach.

Na drugie piętro wiodły schody kręcone. Były tu jednak tylko dwie ogromne sale i komórka. W jednej sali mieszkała młodzież, w drugiej służba pałacowa. Drugą zdobiły rzeźbione głowy,

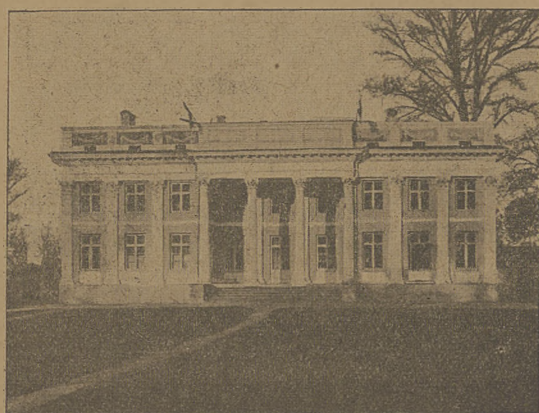
które wzięto z zamku krakowskiego. O tych głowach istniało podanie, że kiedy król Zygmunt August sądził i miał wydać jaki wyrok niesprawiedliwy, głowy te odzywały się po łacinie: „Auguście bądź sprawiedliwy!“ I w Puławach szeptano sobie na ucho, że głowy te po nocach gwarzą, a w sali straszy. Nikt

księcia Czartoryskiego. — Nagle lasek, jakby się roztwierał i z ciemnej zieleni wychodziło się na przestrzeń jasną, a przed oczyma stawał prześliczny, biały, w stylu włoskim zbudowany pałacyk „Marynki“.

Od Marynek ku łasze wiślanej ciągnął się ogród dolny. Z ogrodu górne-

wozy i sanie, modne i starożytne, osobliwego kształtu.

Bajeczne sumy pochłaniało utrzymanie takiego dworu. Koszta stołu, piwnicy i światła obliczają na 800.000 złp. rocznie. Warto wspomnieć, że jeden folwark na Pokuciu dostarczał tylko... kapłonów do kuchni puławskiej.



Pałac „Marynki“ w Puławach.



Pałac Marynki w Puławach od strony łachy.

tu nie chciał nocować, więc służba spała w sąsiedniej komórce.

Dach nad środkowym korpusem pałacu był płaski, miedziany, obwiedziony kamienną balustradą. Na balustradzie poustawiano figury z blachy i rozmaite ozdoby, a na środku nad gankiem widać było wysoką postać Atlasa, bożka greckiego, który na swoich barkach dźwiga kulę świata.

Później dobudowano z lewej strony pawilon, w którym na dole mieszkała księżna, na górze zaś urządzono teatr, łączący się ze salą białą. Taki sam pawilon zaczęto budować na prawej stronie, ale go nigdy nie dokończono. Mieszkał tam książę.

Oprócz pałacu były trzy oficyny, archiwum i mieszkanie oficyalistów. Pałac od strony ogrodu łączył się z dwoma cieplarniami, między któremi wznosiła się altana z jońskich kolumn. Tędy wchodziło się do parku.

A park był prześliczny i stanowił prawdziwą chlubę i ozdobę tej rezydencyi pańskiej. Dzielił się na ogród górny i dolny. Górny był równy z zamkiem, dolny razem ze wzgórzem spadał ku rzece. Park górny miał cudne drzewa, krzewy, szpalery, gazony i oranżerye. Dla naśladowania skał sprowadzono tu olbrzymie bryły granitu, które malowniczo poukładano w parku. Dwie aleje lipowe przerzynały tę część ogrodu i wiodły do budynku, zwanego „świątynią Sybilli“ i do oranżeryi.

Za folwarkiem, który zwał się „Żulinkami“, roztaczał się obszerny ogród warzywny, sad i cieplarnie na kwiaty zagraniczne. Z ogrodem stykał się lasek, zwany „dziką promenadą“. Tu wznosił się piękny pomnik rodziców

go do dolnego szło się stu schodami, w skale kutymi. Tuż nad samą Wisłą rosły najpiękniejsze drzewa: dęby, iwy, topole nadwiślańskie, lipy. Wśród drzew tryskało sześć fontan, a na cyplu, na urwistym brzegu wznosiła się chińska altana.

Grunt w ogrodzie dolnym był górzysty i nierówny, porobiono więc w nim sztuczne skały i groty. W jednej grocie była kapliczka, w drugiej mieszkał pustelnik. Umiał on śpiewać i grać na kobzie i teorbanie.

Nad łachą wznosił się most drewniany, łukowy, wiodący na prześliczną wysepkę. Za rzeką rozsiadła się piękna, zielona łąka, na łące olbrzymie drzewa, za nią stajnie, mleczarnie i kilka chat.

Mały, oddzielny ogród rozciągał się obok mieszkania księżny. Otoczony był żywopłotem i miał mnóstwo kwiatów. Sama księżna pielęgnowała kwiaty i sadziła drzewa. W środku tego ogrodu wznosił się ołtarz z białego marmuru, z napisem: „Najwyższej Istocie za moje dzieci.“ — Tak dziękowała księżna Bogu za dzieci, które wyrosły na znakomitych obywateli kraju.

Na dziedzińcu pałacowym stał piękny posąg, obok tryskała fontanna na trzydzieści stóp w górę.

Dwór to był wielkopański. Mnóstwo służby snuło się po pokojach: kamerdynerzy czarno ubrani, lokaje w jasnozielonych frakach, z pąsowymi kołnierzami. Usługiwali oni licznym rzeszom gości, których codzień mnóstwo było w pałacu.

W stajniach koni było bez liku i na każde zawołanie; w wozowniach po-

Ale też właściciel miał olbrzymie dobra: oprócz Puław i sąsiedniej Końskowoli, posiadał w tak zwanej „nowej Galicyi“ pod panowaniem austryackiem dziewięć wsi i jedno starostwo, na Żmudzi dwa starostwa, na Litwie obszerne dobra, na Podolu sześć kluczy.

Ogół dochodów liczono na sześć milionów złp. rocznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ryngraf młodzieży.

Tam u ołtarza
Na Jasnej Górze
Złożyła młodzież ryngraf swój;
Tam do kaplicy
Królowej naszej,
Zaniosła młodzież prace, znój.
Klęcząc w pokorze
Płomienne modły
Dobyła z głębin ducha moc;
Moc to młodzieńcza,
Co kruszy pęta,
Co rzuca światło w ciemną noc.

* * *

Ratuj Maryo
Ojczystą Szkołę,
By polskiej myśli wątek snuć.
Błaga Cię dziatwa
O Matko Boża
Błogosław, prowadź, wiarę budź!
Tarcz daj obronną,
Gdy biją gromy,
Przygniata boleść, dręczy żal.
Ryngraf srebrzysty —
To kruszec kuty
Z młodzieńczych serc na szczęsną dal.

20. X. 1909. Ks. Stanisław Szabelski.

Nic nas tak nie powinno wzbijać w dumę, jak nienawiść ludzi, wyżej od nas stojących; obdarzają bowiem nią tylko tych, którzy wyższymi się im wydają; dla niższych miewają jedynie gniew lub pgardę.

Adam Mickiewicz.

szkoły, pojechałem z Ojczymem w świat, w niemczyznę.

Gdy miałem lat dziewiętnaście, będąc w stronach ojczystych doszedłem już z czytania różnych książek do przekonania tego, że przywódcy Polaków nie śmią być ani pijakami, ani palaczami, ani rozpustnikami, ani karga i siły własne. A me najmilsze chwile są, gdy po utrudzeniach, a czasem i pustych wyśmiewaniach wejrzę w twarze mych braci Elsów,*) których tu jest ośmiu. Od czasu jak zostałem Elsem była ma najmilsza chwila, gdym pozyskał mego kolegę z mej wioski rodzinnej. Przyjechał sam do mnie za



Aleja „Królewska“ w Puławach.



Ulica Lubelska w Puławach.

(Patrz artukuł p. t. „E Ojczystych stron“).

Wincenty Lutosławski.

Listy robotnika Polskiego.

(Dokończenie.)

W dalszym ciągu swego drugiego listu mówi o sobie Wolski:

„Urodziłem się 13-go grudnia 1884 roku na pustkowiu, blizko granicy. Jak żywiej mi krew bije, gdy wspomnę na me młode lata tak piękne! Gdym miał sześć lat poszedłem do szkoły pruskiej, gdzie jeszcze trochę historyi świętej po polsku uczyli. Gdym miał lat dziesięć umarł nasz Ojciec prawie w dzień św. Barbary 4-go grudnia, do której to patronki on zawsze w długie wieczory zimowe pieśń śpiewał, której pierwsze zwrotki w pamięci zachowałem. Już ta śmierć Ojca mego dała mi poznać, po raz pierwszy tę siłę niewidzialną, moc duchów, Opatrzność Boga dobrego! Jam to sam spostrzegł, iż Ojciec pewnie św. Barbarę uprosił o dobrą śmierć, bo w jej dzień umarł. Ty może mi zaprzeczysz Ojcze? Lecz ja ci się nie dam zbić, bo ja to sam dotychczas w życiu doświadczam, ja czuję tę rękę niewidzialną zawsze, gdy poważniejsze chwile w mem życiu przychodzą; to nie są ślepe trafy, nie! Bo ja to czuję! Po śmierci Ojca, pozostało nas Matka, ja i dwie siostry młodsze. Ja poszedłem na służbę. Matka pojechała w świat do Sasów, a dwie siostry młodsze wzięła Babusia. W trzy lata Matka ożeniła się po raz drugi. Ja gdy miałem lat czternaście przyszedłem ze służby. Więc nie dziw się na to straszne pismo polskie moje bo mię nikt nigdzie go nie uczył. Gdy wyszedłem ze ciarzami i t. d. Więc razu pewnego w boru wysokim, starym, sosnowym pod wysokim również krzyżem już sam się wyrzekałem tych czterech nałogów, które tępi Bractwo św. Józefa, oraz i oszczerstwa się wyrzekłem.

„Była to uroczysta chwila w duszy mej, lecz za wczas się wtedy już szlachciłem, bom jeszcze nie dorósł temu, by się sam jeden módz oprzeć wszystkim ludziom, z którymi się gdziekolwiek spotykałem. I tak ulegałem nie namiętnościom własnym, lecz namowom tych dobrych mych kolegów i sąsiadów i tak zaczynałem po mału pić wódkę znowu i palić, a później w karty grywać, lecz zawsze czułem me sumienie, gdy więcej nałogom ulegałem. Lecz już przeszło to wszystko, a ja przepraszając dziś Boga dobrego za to, patrzę na tę moją przeszłość, jako na szkołę mą i czerpię z niej nieraz zrozumienie łaski Boga i otuchę na dalsze życie. Chcę jeszcze dodać, iż służyłem Niemcom w pewnym badeńskim pułku w starem mieście badeńskim nad Renem przy piechocie, uczynili mnie niemieckim gefrejtrem i chcieli bym został dłużej, lecz darmo!

„Teraz jestem już 16 miesięcy żonaty. Dał mi Pan Bóg synka, lecz z nim razem i szkołę do znoszenia cierpień. Bo, Ojcze, ten mój synek urodził się kaleką i po czterech tygodniach prawie znowu w ten sam dzień umarł. Jam się trochę znowu zahartował i dziękowałem Bogu tylko za to, iżem przeciw niemu nie szemrał ani razu. Gdy mi czas pozwoli, opiszę ci Ojcze ten pogrzebek jego.

„I tak znowu żyję sobie wśród tego świata obcego, dalej z ufnością w Bopracą. Gdy w dom mój przyszedł, częstował mnie papierosem. A gdym mu powiedział, że ja nie palę i nie piję, to rzekł, że bez tego nie można się obejść.

„Lecz gdy cały tydzień co wieczór mu czytałem, a on słuchał o Polsce, to już jego dusza, nie dała mu spokoju, aż nie wstąpił do grona Elsów. Gdy mi to po raz pierwszy powiedział, to wiesz Ojcze jaka błogość jest w sercu człowieka, gdy widzi owoc ze swej pracy. Teraz coraz bardziej czuję się silnym i nie oglądam się na pomoc, a to mnie czyni pewnym siebie. Mogę już zbić te wszystkie głupie rozumowania wygłaszane na zebraniach towarzystwa naszego. Z początku krzyczeli po większej części, iż jestem *babtystą* lub jak inś sekciarzem, lecz zawsze się znaleźli ludzie, którzy widzieli w tem coś dobrego.

„Teraz już zdobywam ich, chociaż nie zaraz, do Eleusis: muszą ulegać i w kąty ciskać nałogi, szczególniej pijaństwo, gdy im rzucę rozpalone słowo „Ojczyzna“ w piersi.“

„Dziś już nie kłopocę się czy będę bogaty na starość lub czy przynajmniej będę miał gdzie głowę schronić, nie, to już zostawiam Bogu. Idę do pracy chociaż ciężkiej, lecz idę wesoły; czuję częściej Boga w koło siebie, zdałem rachunki domowe na żonę i częściej myśli me kieruję ku Bogu, Ojczyźnie, poświęceniu się. Są to błogie czasem chwile. Czasem, gdy pracuję w nocy i wyjdę z pod dachu i wejrzę na te miliony gwiazd i widzę tę nieskończoność światów, to czuje tę

*) Elsami nazywają się członkowie bractwa św. Józefa.

ogromność i wszechobecność Pana Boga i korzę się przed nim i żałuję za me grzechy dawne. A czasem też myśli me jak orły wzbijają się wysoko i mówią mi potem, iż ja mam siłę wielką, a ja tedy rosnę z temi myślami i widzę, iż wszystkiego mogę dopiąć i czuję nawet sam tę siłę, więc proszę Boga, bym nie popadł w pychę. Myśli me potem puszczam nad Polskę; widzę tę ciemną zasłonę zakrywającą mą Ojczyznę, widzę ten ludek mój cichy i śpiący, i widzę tego Prusaka, jak się we śnie przewraca niespokojnie, a ja wtenczas czuję się dumny i wielki, — i czuję, że go pokonam, bylem siebie pokonał! ja czuję mą Polskę i rozlewam się cały w nią!

„Tak Ojcze, nie dziw się, że ci tak piszę, bo przecież o czem ci mam pisać jak nie o sobie, a to co mię najwyraźniej uderza, to ci też najprzód piszę. Teraz już skończę na tymczasem ten list, bo myśli znów mi się naraz cisną, gdy chcę pisać o tej Nadziei, którą żyję, a której dałem na imię Ojczyzna!

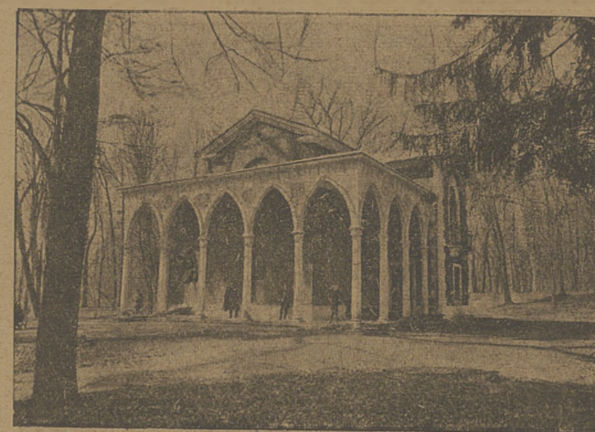
„Teraz proszę cię, odpisz mi Ojcze, jak te gryzmoły moje odbierzesz! Nie zważaj na pismo, bo ma ręka ciężka i nigdzie go się nie uczyła, a po drugie chcąc te prędkie myśli prędko pisać, nie mam już czasu na pismo baczyć, byle ta myśl ma tu dobrze mogła lecieć, proszę Cię Ojcze nie pisz mi jeno kartki, bo to zamało na mnie, tam się nie zmieści tyle, ile ja od Ciebie chce wiedzieć!

„Bo ja to chcę wiedzieć, o co Cię się nie pytam, to jest to, co mi ty sam napiszesz, a czego ja jeszcze nie wiem!“

Otrzymawszy ten list polskiego robotnika, nie tyle byłem zdziwiony, ile uradowany. Wprawdzie wśród setek listów, jakie dotąd od robotników otrzymywałem, jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się czytać listu pełnego tak żywych obrazów, zdradzającego taki talent literacki, lecz co do treści, to wiele bardzo listów od Elsów mam, które mi dowodzą, że robotnik polski bez długich przygotowań bywa zdolny pojąć nie tylko Pana Tadeusza, lecz i Dziady i Przedświt, a nawet niektóre rapsody króla Ducha.



Aleja Gotycka w Puławach.



Domek gotycki od strony południowej w Puławach.

(Patrz artykuł p. t. „Z ojczystych stron“).

A lud trafia z własnego popędu do tych arcydzieł budzących ducha, gdyż ci, co się oświatą ludową najczynniej zajmują, wyobrażają sobie niestety zbyt często, że dla ludu trzeba i języka jakiegoś odrębnego i dzieł pisanych wyjątkowo przystępnie.

Miałem wielokrotnie okazyę stwierdzić, że to, co najlepsze i najwyższe w naszej literaturze, jest także ludowi dostępne, szczególniej robotnikom pracującym w kopalniach i mającym przez to sposobność do rozmyślań.

Ale nigdy jeszcze z taką siłą i jasnością, ta jedność ludu z narodem nie wystąpiła przedemną, jak w listach Bronisława Wolskiego. Sądzę, że nie powinienem ich chować dla siebie, tembardziej, że może one mu pozyskają przyjaciół, którzy mu zechcą dopomódz, aby go wykształcić, jak tego wymaga jego wybitne uzdolnienie i literackie i myślowe. Człowiek 25-cioletni, choć już obarczony odpowiedzialnościami rodzinnemi, gdy mu dać kilka lat niezależności od zarobkowej pracy, może przecież stać się niezmiernie pożytecznym pracownikiem na polu tej istotnej oświaty ludowej, jakiej nam potrzeba. Aby ludowi służyć, trzeba go znać, a któż go lepiej znać może, niż ten, co sam na sobie dolę i niedolę polskiego robotnika, wychodzącego na zarobek do Niemiec, służącego w pruskiem wojsku, poznał i doświadczył?

Dziś nie można prząść systemów z pustej głowy, ale trzeba ją zapłodnić myślą całej przeszłości.

F. Krupiński.

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

II. A.

Jakim jest rozwój terytoryalny Polski?

Polska w przeciągu swego blisko 1000 letniego bytu niezależnego zmienne przechodziła koleje, i granice państwa różnym ulegały zmianom, zależnie od mniej lub więcej szczęśliwie prowadzonej polityki. Początku państwa polskiego w zamierzchłych czasach pogańskich (aż do r. 965) szukać należy w okolicach Kruświcy i Gniezna, jako też Krakowa. Z temi miastami związana jest kolebka naszego narodu, wspomniane są bowiem w najstarszych już baśniach o Wandzie i Krakusie, Lechu, Piaście i Popielu.

Pojęcie państwa jako jednostki i organizacyi politycznej było jednak pogańskim ówczesnym Polanom obce i wogóle nie odpowiadało usposobieniu narodu, lubiącego wolność ponad wszystko. Była Polska więc przed Mieczysławem I. związkiem luźnym tylko, składającym się z rodzin i ich włości (opola), na których czele w razie napadu stawali najstarsi jako wodzowie . Dopiero pod naporem germańskim, gdy Polacy zobaczyli, jak Niemcy w krótkim przeciągu czasu (od r. 800 do 1000) zdołali niepołączone ze sobą plemiona zachodnio-słowiańskie (Wilków, Obotrytów, Habolan i Łużyczan), jednych po drugich podbić, i między Łabą a Odrą łatwe rozpocząć dzieło germanizacyi, nastąpiła w Polsce centralizacya władzy. Już pierwszy nasz historyczny król, Mieczysław, uważał się za samodzielnego władzcę w następujących częściach kraju: w Wielkopolsce (Poznańskie) i na Kujawach, na Mazowszu (Płock) i w Małopolsce (Kraków), częściowo także na Śląsku i Pomorzu. Następca jego i syn, Bolesław I. Chrobry, rozszerzył znacznie granice państwa i był jedynym z królów polskich,

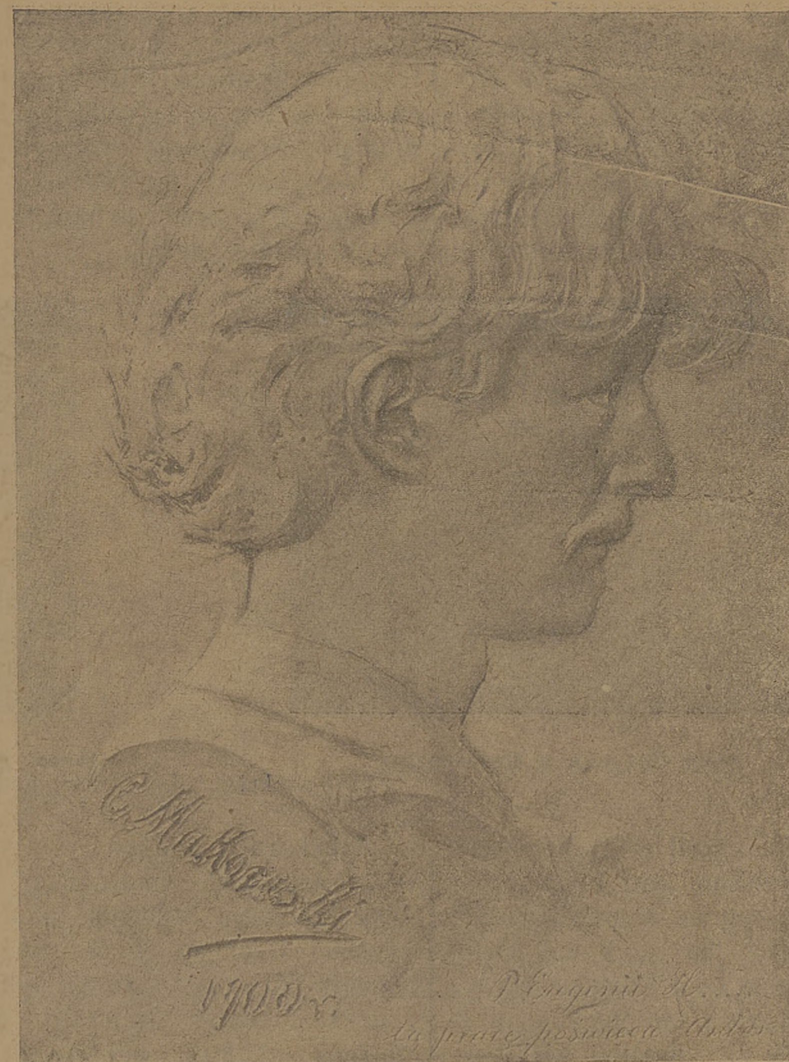
starających się dzieło germanizacyi rozpoczętej w Słowiańszczyźnie zachodniej zniweczyć. Rozszerzył on granice państwa na zachód aż do Soły (Saale), Haboły (Havel) i Odry, zdobył na północy całe Pomorze ze Szczecinem, na wschodzie zaś posunął się aż pod Kijów i ziemie ruskie (okolice późniejszego Lwowa) do Polski przyłączył. Nawet Słowaczyznę (północne Węgry) i Czechy zdołał podbić, tak, że Polska już za panowania tego dzielnego króla przekraczała na wszystkie strony swe granice narodowościowe. Zdobycie to jednak było nietrwałe, już następcy Chrobrego (Mieczysław II. Gnuśny) zdołali je w większej części postradać. Wprawdzie Bolesław II. Śmiały zdobył powtórnie Kijów, a Bolesław III. Krzywousty Pomorze na nowo odzyskał, lecz były to korzyści chwilowe i szybko przemijające. Na ogół schodziły się za Piastów granice Polski polityczne razem z granicami narodowościowemi i obejmowały następujące dzisiejsze obszary: Poznańskie aż do Noteci, Śląsk, Kongresówkę (bez gubernii Suwalskiej) i zachodnią Galicyę po San. Ostatni z Piastów, Kazimierz Wielki, zdobył w połowie 14-go wieku Ruś Czerwoną (okolice Lwowa), lecz straciła Polska za niego Śląsk, który przez odpadnięcie od pnia macierzystego z biegiem wieków w części uległ germanizacyi (Śląsk dolny i średni).

W dalszych dziejach swych doznaje kraj szybkiego i niebywałego rozwoju terytoryalnego w kierunku wschodnim pod szczęśliwem panowaniem Jagiellonów. Przez małżeństwo Jadwigi z Władysławem Jagiełłą połączyła się Polska z Litwą i granice kraju przesunęły się aż pod Smoleńsk. Za dalszych Jagiellonów, głównie Kazimierza Jagiellończyka (1447—1492) doznała Polska takiego rozwoju na południowy wschód, że stanęła u szczytu swej potęgi (Polska od morza do morza t. j. od Bałtyku do m. Czarnego) i tworzyła najpotężniejsze naonczas państwo w Europie. Podlegały wtenczas Polsce nietylko wszystkie ruskie ziemie (Ruś Czerwona, Ukraina, Polesie, Czarna i Biała Ruś), nietylko Litwa cała i Żmudź, lecz i kraje Krzyżaków pruskich (Prusy) kurlandzkich i inflanckich, i aż het do Krymu (Tatarzy) rozciągała Polska swe panowanie.

Dla zagospodarowania jednak tak wielkiego obszaru, w którym 3/4 zajmowały obce narodowości, potrzeba było wielkiego rozdrobnienia sił i kto wie, czy dla tej właśnie przyczyny Polska nie doznała szybkiego osłabienia i prędkiego upadku. Tylko jeszcze Stefan Batory (1576—1586) zdołał granice państwa posunąć aż pod Psków (blisko dzisiejszego Petersburga)), lecz przez nieszczęśliwe wojny następców jego z Moskwą, Kozakami i Szwedami kraj już tylko ustawiczne straty ponosił. Od morza Czarnego szybko Polska odpartą została, a Kijów i Smoleńsk utraciła Polska na rzecz Rosyi w pokoju Andruszowskim roku 1678.

Także Inflanty kraj postradał, a Kurlandya i Prusy Wschodnie (książęce) przez sekularyzacyą coraz więcej się od pnia odłączały. Nawet za Sobieskiego, który po raz ostatni zdołał imię polskie wsławić, odpadł Kamieniec Podolski na rzecz Turcyi, lecz choć go za Augusta II. jeszcze odzyskano, los kraju był już naonczas w zasadzie rozstrzygnięty. Granice Polski, która przez podziały (r. 1772, 1793 i 1795) doznała poćwiartowań ostatnich i doszczętnych tak dalece, że wymazaną została z karty Europy, zmieniały się jeszcze w zeszłem stuleciu. Księstwo Warszawskie, ustanowione przez Napoleona w r. 1807, obejmowało aż do r. 1815 dzisiejsze Poznańskie (i Gdańsk), oraz Kongresówkę i Kraków, lecz już po 8 letnim żywocie straciło swój byt niezależny. Jedynie rzeczpospolita Krakowska doczekała w wolnym stanie roku 1846, w którym to i ona jako ostatni świadek namacalny niezależnej Polski z Austryą połączoną została.

Rok 1815 (Kongres Wiedeński) o tyle przyniósł zmiany w powtórnym podziale Polski, że Niemcy i Austrya zostali z Kongresówki wycofani, a Rosya zajęła ich posiadanie.



Ignacy Paderewski.

Znakomity nasz artysta i kompozytor Ignacy Paderewski ofiaruje, jak wiadomo, miastu Krakowu z powodu zbliżającej się pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem wspaniały dar w postaci spiżowego pomnika króla Władysława Jagiełły, dzieło artysty rzeźbiarza Wiwulskiego. Pomnik jest już w odlewarni. Jest to prawdziwy olbrzym. Granitowa podstawa pomnika zajmie 200 metrów kwadratowych powierzchni, na niej umieszczony jest odpowiedni cokół z czterema alegorycznemi grupami, wyobrażającemi apoteozę zwycięstwa. Jedna z grup przedstawia ks. Witolda i leżącego u jego stóp w pełnej zbroi Krzyżaka. Nad cokołem stoi postać króla na koniu. Król w rycerskiej zbroi, zapatrzony w wir bitwy, pewny już zwycięstwa; twarz królewska wzorowana według sarkofagu królewskiego. Pomnik wysoki jest mniej więcej 12 metrów, a zatem sięga kamienicy dwupiętrowej. Fundator zwrócił się też do prezydyum miasta Krakowa, donosząc o ofiarowaniu pomnika i zastrzegając sobie wybór jednego z placów.

Wierzaj mi, nieład gorszym jest od złodzieja.

Dorobek polski w Stanach Zjednoczonych.

Główny organ wychodźtwa polskiego w Ameryce północnej, „Dziennik Związkowy,“ w szeregu artykułów, zatytułowanych „Amerykanie a iny,“ stwierdza pomyślną zmianę, jaka się ostatniemi czasy dokonała w opinii amerykańskiej, na korzyść tamtejszego polskiego społeczeństwa i wogóle narodu polskiego.

Do niedawna opinia ta była dla nas nader niepochlebna. Sądząc po nieoświeconym szarym tłumie roboczym, który przybywał tam z Polski za zarobkiem i spełniał tylko najcięższą pracę fizyczną, jakiej się ani miejscowa ludność, ani inni emigranci, nie podejmowali, uważali Amerykanie cały naród polski za plemię, stojące na najniższym szczeblu kultury i sądzili, że także w Europie Polak jest synonimem prostej siły roboczej. Skutkiem tych mylnych pojęć liczne, bo już dziś przeszło trzymilionowe wychodźtwo nasze w Ameryce, otaczane było przez miejscowy żywioł pogardliwem lekceważeniem.

Dopiero ostatnie lata zmieniły ten stan rzeczy na korzyść. Dorabiając się majątkowo, ulegając działaniu wyższej kultury, a jednocześnie nie zrywając węzłów, łączących go z ojczyzną, lud polski w Ameryce począł kłaść fundamenty pod wyższe formy życia i tworzyć własne instytucye kulturalne, rozwijające się coraz to pomyślniej.

„Owoce tego wielkiego dorobku polskości na emigracyi, mówi „Dziennik Związkowy,“ musiały uderzyć Amerykanów. Zaczęli się oni przyglądać Polakom coraz bardziej, uznawać ich pracę i wchodzić z nimi w bliższe stosunki. Dopomogły do tego wielkie postacie polskie, które przesunęły się przez Amerykę i rozsławiły imię polskie niemal w każdej dziedzinie kulturalnych współubiegań i tryumfów. Mając takich promotorów, jak w sztuce teatralnej nieśmiertelną Helenę Modrzejewską, w literaturze Sienkiewicza, w muzyce Paderewskiego, Polacy musieli zwrócić na siebie uwagę.

„Lata ostatnie zaczęły podnosić imię polskie i na innych polach. W rzeźbie zdobywają Polacy daleko idące odznaczenia, budują pomniki nie tylko dla osad polskich, ale także dla stolicy Stanów Zjednoczonych, dla Waszyngtonu i zadziwiają Amerykanów talentem. Po wystawie chicagowskiej wspaniałe dzieła polskich malarzy rozchodzą się po wszystkich miastach Unii, a wszędzie znajdują zaszczytne wyróżnienie. I w technice Polacy nie pozostają na szarym końcu. We wielkich fabrykach i przedsiębiorstwach zostają odpowiedzialnymi kierownikami, a słynny Ralf Modrzejewski buduje olbrzymie mosty, należące do ostatnich cudów techniki.

„Wszędzie Polacy zaczynają zaznaczać swą działalność i wybijać się, a przykłady dowiodły, że i na polu twórczości wynalazczej nie są ostatnimi. Prasa anglo-amerykańska coraz bardziej zmuszona była zajmować się nimi. Najpoważniejsze pisma zamieszczać zaczęły źródłowe artykuły, które powszechną zwracały uwagę.“

W parze z tem, jak zaznacza „Dz. Zw.“, zaczynają Polacy amerykańscy zdobywać sobie w miejscowem życiu publicznem stanowisko, należące się im z tytułu ich liczby i zmieniającej się wciąż na korzyść pozycyi społecznej. Wybijają się na wierzch w stanowych ciałach prawodawczych: w Radach powiatowych i miejskich i zajmują coraz więcej urzędników z wyboru. Obecnie zaś, sięgając po udział we wpływie na losy olbrzymiego państwa związkowego, myślą o obesłaniu posłami polskimi kongresu w Waszyngtonie. Myśl ta przyjmuje się coraz bardziej po większych koloniach polskich, liczących często krocie tysięcy dusz i próby jej urzeczywistnienia mają być w najbliższej przyszłości podjęte.

Ks. Teofil Gapczyński.

O Juliuszu Słowackim.

Wiek jeden minął 23 sierpnia zeszłego roku od chwili, kiedy Bóg zesłał Polsce najpotężniejszego mistrza słowa, poetę-tytana Juliusza Słowackiego. Dlatego też cały naród polski z radością i dumą obchodzi i święci tę wielką rocznicę z taką uroczystością, na jaką tylko w smutnem swem położeniu zdobyć się może. I tak ten, który za życia był zapoznany, niedoceniony, od swoich pojony goryczą miasto uznaniem, odepchnięty od ojczyzny, cicho bez sławy na obcej zagrzebany ziemi — dziś w ojczyźnie, za którą tak tęsknił za życia, należyte święci tryumfy.

„Niepojęty od ludzi, bo wyższy o wieki
Nieukochany od ziomków, bo gorżki i smutny,
Odepchnięty od łona Polski i daleki
Przebłąkałeś swój żywot cierniowy, pokutny.“

słusznie mówi o nim Marya Bartusówna.

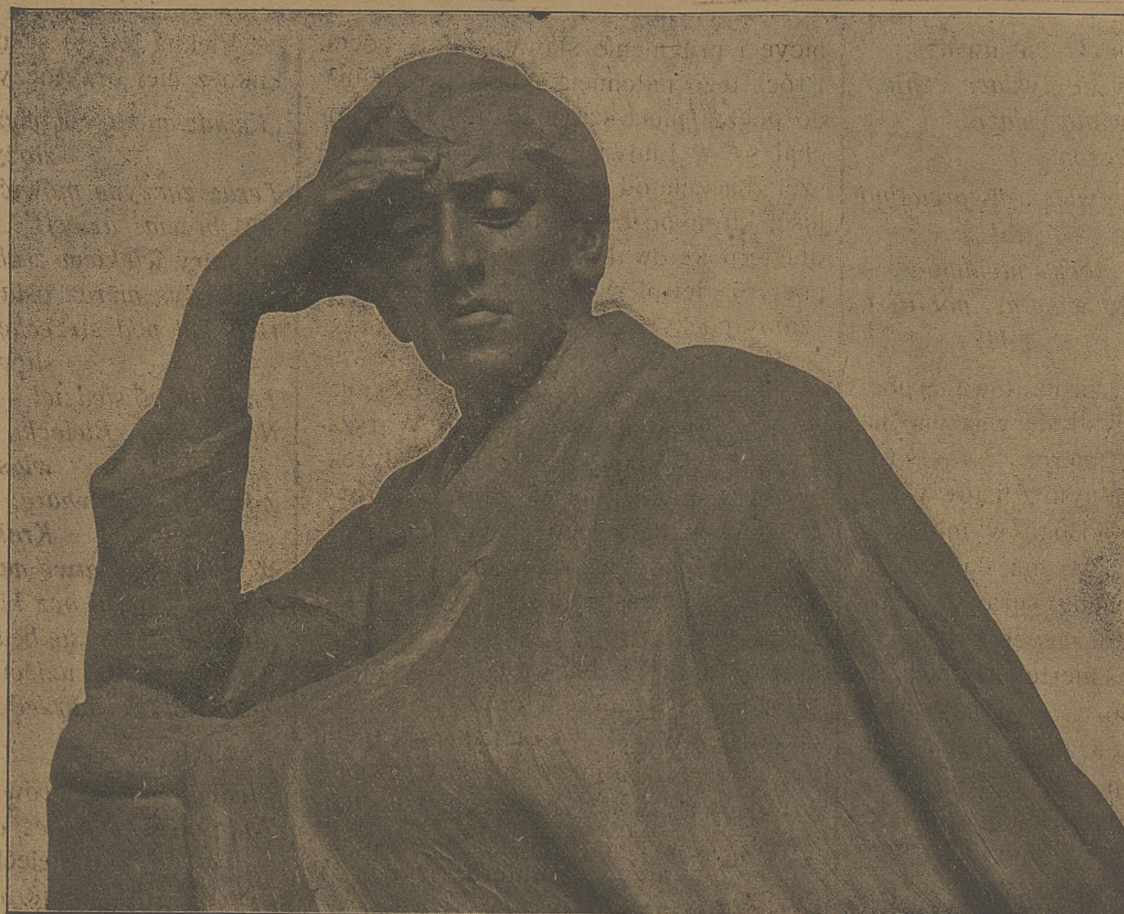
A dziś . . . . . .

„Cześć i chwała Ci“ — składają
Hołd i pokłon Ci oddają
Polskie syny, polskie córy
Łąki, lasy, wody, góry.
Każda myśl i każde tchnienie
Niesie Ci swe uwielbienie“ . . . . .

Urodził się Juliusz Słowacki na Wołyniu w Krzemieńcu, w miasteczku poetycznie położonem nad rzeką Ikwą, tak ukochaną przez poetę a unieśmiertelnioną w poemacie „Beniowski“. Płynie ona wśród zielonych wzgórz, w głębokim parowie, z szumem górskiego potoku. U podnóża wysokiej, ostro ściętej góry, a uwieńczonej ruinami starożytnego zamczyska, leży rodzinne miasto naszego poety, dziś podupadłe zupełnie. Z białych domków z ogródkami, tych domków, które tak malowniczo rzucone pośród gór i parowów, tem bielsze, że „odbite od ciemnej zieleni topoli“, a które Słowacki w „Godzinie myśli“ porównywał do „pereł szmaragdami ogrodów przeszytych“ — z tych domków pozostały dziś tylko rudery przez niechlujną dziatwę Israela zamieszkałe.

Był Krzemieniec za czasów młodości Słowackiego na początku 19 wieku nietylko miasteczkiem pięknem, uroczo i poetycznie położonem, ale i siedliskiem i środowiskiem nauki i sztuki, nazwanem „nowemi Atenami na ziemi wołyńskiej“... wszystko kipiało tu życiem towarzyskiem i naukowem. Tu, w Krzemieńcu, przebywały takie rodziny, jak Sapiehów, Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Lubomirskich i wiele innych, rodziny, które znaczeniem, światłem i dystynkcyą były ozdobą najwyższych towarzystw europejskich. Wiele rodzin, zamiast na zimę jeździć do Włoch lub do Paryża, zjeżdżało do Krzemieńca.

Tu przebywał czas dłuższy X. Hugo Kołłątaj; tu Wacław Rzewuski spędzał w ostatnich latach życia całe dnie i tygodnie; tu bywał poeta Niemcewicz; tu „Pan Szef“ Drzewiecki rozprawiał o Napoleońskich kampaniach w ziemi włoskiej — tu pisał swoje, tyle zajmujące „Pamiętniki“; tu ze łzami w oczach dyktował swe dzieła Tadeusz Czacki; tu książę Adam Czartoryski odwiedzał Czackiego; tu ksiądz Alojzy Osiński czytał Skargę i pi-



Szymanowski.

Juliusz Słowacki.
(Z Jednodniówki „Znicza“.)

sał jego żywot; tu Józef Korzeniowski wykładał literaturę polską... tu poprostu środkowało się życie piękne i idealne. W tem poetycznem ustroniu przyszedł na świat wielki nasz poeta — w tej atmosferze sztuki i nauki spędził zaranie swego życia — czerpał pragnienie wiedzy i nauki — tu pierwsze do poezyi budziło się w nim natchnienie. Krzemieniec ówczesny to jakby opatrznościowe dla urodzin poety miejsce.

Co więcej! Dał mu Bóg ojca - poetę niepośledniego, Euzebiusza Słowackiego. Był on profesorem literatury polskiej w słynnej szkole krzemienieckiej, później od roku 1811 profesorem wszechnicy we Wilnie. Pięcioletniem był Juliusz dzieckiem, gdy umarł mu ojciec, po którym odziedziczył zdolność do poezyi. Po matce zaś Salomei z Januszewskich, którą poeta do śmierci nadzwyczaj czułą otaczał miłością, odebrał serce czułe, tkliwe, wrażliwą fantazyę. Gdy Juliusz miał lat 10 otrzymał ojczyma Dr. Becu, również profesora przy uniwersytecie wileńskim, ojczyma, którego w r. 1824 zabił piorun, jak sądzono za to, że był zdrajcą uczącej się w Wilnie polskiej młodzieży, ojczyma, który nie mało się przyczynił do goryczy i smutku, które tak wybitne wybiły piętno na duszy poety.

Pominę szczegóły drobniejsze z czasów studyów młodzieńczych poety, podając najgłówniejsze z życia jego kontury.

Juliusz był dziwnem dzieckiem. Jako jedynak, wypieszczony, zawsze słabowity, wątły a przytem grymaśny. Obok kaprysów, które go czyniły nieznośnym często, było w tem dziecku coś niezwykłego: z oczu jego czarnych a wielkich, wyglądających z delikatnej, bladej twarzyczki, patrzała jakaś melancholia, jakaś głęboka zaduma... Już jako dziecko miał duszę wrażliwą na to, co go otaczało, zwłaszcza na przyrodę. Słowa, które wkłada później w usta Anhelemu (Rozdz. XV.) odnoszą się do jego dzieciństwa: „A gdym dzieckiem usiadał na kolanach obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny, szumiący z wichrami, rozumiałem, co szeptał“.

Albo jak silne wrażenie na małym Julku wywarły kolędy śpiewane w domu rodziców matki, państwa Januszewskich. W liście do matki pisanym z Genewy powiada tak rzewnie: „O gdybym jeszcze raz mógł usłyszeć dziadunia mego, śpiewającego prostą kolędę w dzień Bożego Narodzenia, razem ze służącymi domu. Zdaje mi się, żebym do dziecinnej wiary przyszłości mojej wrócił“.

Tak, Juliusz pod każdym względem był dzieckiem niepospolitem: zamknięty w sobie, skłonny do melancholii, „egzaltowanie pobożny“, trzymał się zdala od rówieśników i ich zabaw dziecięcych; wolał pochłaniać książki, wolał przebywać z osobami starszemi, a rozmowie ich, choćby się toczyła na najpoważniejszy temat, zawsze się przysłuchiwał z uwagą.

Karyerę swą poetycką rozpoczął jako ośmioletni chłopiec na grobie ojca we Wilnie, gdzie podobno znalazł jakieś poezye swego ojca. Przeczytawszy je, powziął pierwszy raz w życiu ochotę napisania podobnych. Powróciwszy do domu, spisał „pierwsze próby poezyi“. I tak można powiedzieć, że z popiołów ojca-poety zrodził się syn-poeta; duch ojca unoszący się nad jego popiołami przebudził się w Juliuszu poecie! Tu nad grobem ojca zawarł niejako przymierze z poezyą. I z pewnością o sobie mówi w „Królu Duchu“; że

„Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle rękę zasłoniły
A pokazały, jako świt daleki
Umiłowaną odtąd i na wieki“.

Tą umiłowaną „odtąd i na wieki“ — było czarowne widmo poezyi. Dla tej poezyi, dla tej umiłowanej chciał wszystko poświęcić, jak pięknie znów w „Królu Duchu“ powiada:

„— Niechaj me oczy rozwidnię,
Rubinem, który z jej ust światło leje
A nie dbam o to, co mnie dalej czeka:
Żywoty ducha, czy męka człowieka.“

W jedną girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą jako świata książę,
Czoło uwieńczę i ukoronuję! . . .
. . . Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mnie ognistą otoczy otchłanią . . .
Choćby aż w piekło wiodła, pójdę za nią!!!“

I poszedł za nią, za umiłowaną poezyą, gotów na wszystko, wiecznie na jej usługach aż do śmierci.

Jak się sam w jednym z listów przyznaje, modlił się do Boga w młodości często i gorąco, ażeby mu dał „życie najnędzniejsze“, ażeby sprawił, iżby nim ludzie pogardzali nawet, byle go w końcu czekała „nieśmiertelna sława po śmierci“. — „O Boże, daj mi sławę, *choćby po śmierci*, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu“. Taka była jego dziecinna modlitwa, modlitwa, która niestety! została wysłuchaną: co jest szczęście nie wiedział za życia, a sławy się doczekał po śmierci! Mając ośm lat (w r. 1817) przysiągł, jak sam pisze, w kościele katedralnym we Wilnie, że nie będzie przed grobem niczego żądał, ale za to po za grobem o wszystko się upomni. Chwilę tę, kiedy w kościele wileńskim zawarł przymierze z Bogiem, miał jeszcze w pamięci, kiedy już pogrążony w towianiźmie, pisał:

„Kościele, w myśli dziś wstający cieniach
Z twemi złotemi krzyżami, pod chmurą,
Na zagaszonych Perkuna promieniach
Stojący, gdziem ja wziął ducha mego tęczową naturę!
Jeśli ty pomnisz, jaka wtenczas była
Moc w mych dziecinnych łzach“...

Przeczuwając, że do zdobycia sobie sławy jako poeta, potrzebna jest wielka i obszerna wiedza, z całym zapałem młodzieńczej duszy zabrał się do nauki. Już jako 9 letni chłopiec rozczytywał się w Homerze i „Żywotach sławnych mężów“ Plutarcha. On, który tak marzył o sławie nieśmiertelnej, nie dziw, że się zapalał, czytając o takich sławnych mężach jak Milcyades, jak Temistokles, jak Koryolan. To też odznaczał się ambitny Juliusz nadzwyczajną pilnością tak w gimnazyum jako i w czasie studyj prawniczych na wszechnicy Wileńskiej, które z chlubą ukończył.

I tu we Wilnie jak w Krzemieńcu wzrastał Słowacki w otoczeniu mężów światłych i pełnych nauki. Wszystkie wybitne siły naukowe, począwszy od braci Śniadeckich, w domu państwa Becu, rodziców Juliusza się koncentrowały. To otoczenie budziło w nim ambicyę i pragnienie sławy jako poeta. Prócz tego natchnęła go tu we Wilnie do poezyi pierwsza jego miłość. Zakochał się w Ludwice Śniadeckiej, starszej znacznie od niego. Ta pierwsza miłość, która pozostała bez wzajemności, długie pokutowała lata w duszy i sercu poety — jej pierwociny cudne zawdzięczamy poezyi.

Po ukończonych studyach prawniczych we Wilnie, Słowacki czule żegnany przez matkę, wyjechał do Warszawy, gdzie wstąpił do służby w dyrekcyi skarbu. Aczkolwiek zajęcie biurowe nie odpowiadało jego poetycznemu usposobieniu, odznaczał się tu przez dwa lata swego pobytu sumiennością i pilnością.

Po za pracą biurową oddawał się Słowacki literaturze i poezyi. A była naówczas Warszawa ogniskiem ruchu umysłowego. Tu mieszkali najwybitniejsi pracownicy pióra, tu wychodziło najwięcej czasopism, tutaj się interesowano najwięcej sprawami literackiemi. Tu przebywali ludzie tej miary, co Koźmian, Osiński, jenerał Morawski, Fr. S. Dmochowski, Dominik Magnuszewski, Odyniec, Maurycy Mochnacki, Fryderyk Chopin, Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Gosławski, Górecki i wielu innych. Jaka korzystna dla młodego poety atmosfera!

Prócz tego mógł Słowacki w Warszawie korzystać z teatru, który właśnie wtenczas najświetniejszą się chlubić mógł epoką w dziejach sceny warszawskiej. A korzystał z teatru pilnie i wdrażał się w sztukę sceniczną. Tu w Warszawie powstało kilka większych poematów, pomiędzy niemi dramaty „Mindowe“ i „Marya Stuart“.

Z Warszawy wybrał się w r. 1830 na kilkatygodniowy urlop na Wołyń do Krzemieńca, którego już nie miał zobaczyć więcej w życiu. A jak chętnie jechał do Krzemieńca! Warunki bowiem, w jakich tam jechał obecnie, były tego rodzaju, że wszystko tu dlań podwójny musiało przedstawiać urok. Przedewszystkiem wracał w strony rodzinne, do swoich, z którymi nie widział się rok prawie. Powtóre, mógł tu zapomnieć na chwilę o nudnej pracy biurowej, mając możność całemi dniami poświęcać się temu wyłącznie, do czego się rwał od dziecka t. j. poezyi. Tu też, w Krzemieńcu powstał dłuższy utwór pod tytułem: Jan Bielecki, napisany prawdziwie polską barwą, charakteryzujący tak dobitnie polską szlachtę, powieść narodową, w której tak napiętnował zdradę Bieleckiego, który, wiedziony zemstą, sprowadził na kraj Tatarów. Bieleckiego spotkała klątwa — a z powodu klątwy i wyrzutów sumienia pęka mu serce. Piękna jest ta scena i warto tu choć kilka z niej przytoczyć wierszy:

„Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —
„O! bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
Że kiedyś nieraz osładzałem troski
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie...
Tu niegdyś siedział — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, kiedyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam.
Módlcie się! ja się będę modlił z wami!..
A teraz bracia! dzieci! Ja przeklinam!...
Zachwiał się starzec i zalał się łzami.“

Na te słowa

„Jeden z wędrowców, co stali u proga
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy“...

Był to Jan Bielecki...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bronisław Ruczyński.

Nad morzem.

(Z Jednodniówki „Znicza“.)

Samotna tama nadmorska skalistym zrębem wżera się w odmęt nieprzebranej wody.

Łakoma fala tysiącznymi języki liże jej skamieniałą stopę i okrąża ją z sykiem, jak wąż podrażniony...

Z bezbrzeżnej dali, het od nieboskłonu, który pasmem stopionej miedzi praży czarny grzbiet nieprzejrzanej wody, leci głuchy pomruk, a po falach na spienionym koniu galopuje wiatr, wywija czarnymi wiechciami chmur i gna je ku lądowi...

Ciężko stęka ołowiane morze. Zbiera się w sobie i waha. Już nabrzmiewa zielony grzebień fal — rośnie, potężnieje... Wtem gwałtowniej uderzyła mosiężna gardziel wichru... Całe morze wali naprzód w dół i jak taran grzmi w lichą ścianę tamy, przerzucając ponad nią śmieszne kiście wiotkiej piany.

Piekielny tan się rozpoczął.

Przygrywa mu wicher na potężnych trąbach. Wtóruje mu ryk oszalałej wody, która miota się w potwornych zagubach to naprzód, to wstecz, miesza się z niebem i w przepaść zapada... Wściekły koncert, zapamiętały pląs! Straszliwa piekielna orgia roz-

kiełznanego, nienawistnego żywiołu!..

. . . .

Ale mężnie stawia burzy czoło licha tama, kruchą ręką człowieka wzniesiona.

Marna skalista spłaza wśród potopu — drży i dygoce ona pod kanonadą fal.

Co chwilę przesłania ją przędza roztrzepanej na mgławe dymy wody. Co chwila jednak podnosi swe zgrzybiałe czoło i pierś poszarpaną, obślizgłą wpiera w odmęt kotłujący...

Tak jest dziś. Tak było wczoraj i przed wiekiem...

O! tamo niezłomna, symbolu ojczyzny mojej — bądź pozdrowiona!...

Powrót do prawdziwego kościoła.

Słynny historyk niemiecki Dr. Albert Ruville, profesor uniwersytetu w Halli, przeszedł niedawno z protestantyzmu na łono katolickiego Kościoła. Celem wyjaśnienia tego kroku, który w kołach naukowych protestanckich wywarł ogromne wrażenie, Ruville wydał książkę pod tytułem: „Powróćcie do świętego Kościoła“ (Zurück zur heiligen Kirche, Erlebnisse und Erkenntnisse eines Konvertiten). Dzieło jest interesującem studyum psychologicznem, a rozgłos naukowy autora sprawił, że w kilku tygodniach rozeszło się 12 jego wydań. Ruville opowiada w niem, że podnietę do poszukiwania prawdziwej religii dała mu książka wiedeńskiego profesora teologii Reinholda: „Der alte und der neue Glaube“.

„Czytałem — pisze Ruville —i nie mogłem wyjść z podziwu. I wtedy dopiero poznałem, że od młodości fałszywie informowano mię o katolickim Kościele. — Wszystko w katolicyzmie przedstawiło mi się odwrotnie, niż sobie dawniej wyobrażałem. Wszystko tu było rozumnem, głęboko obmyślanem, logicznem, czego nigdy w takiej mierze nie znalazłem w protestantyźmie. Poznałem, że nauczyciele, pastorowie i teolodzy, którym zawdzięczałem swą wiedzę, zupełnie nie rozumieli katolicyzmu, a przecież nie wahali się o nim wydawać sądu jak najbardziej ujemnego, często nawet połączonego z sarkazmem. To wzburzyło moje naukowe uczucie. Wolno im bowiem wyszukiwać i ganić nadużycia, wolno im chłostać skrzywienie nauki. ale nie wolno utożsamiać Kościoła jako takiego i jego nauki z nadużyciami. To było kłamstwem i oszczerstwem, a co najmniej ciężkim błędem, bo obowiązkiem uczących jest badać prawdę z autentycznych źródeł. Przekonałem się teraz, że nauka o Trójcy św., o życiu pozagrobowem i o zmartwychwstaniu w katolickiem pojęciu ma najpiękniejsze uzasadnienie, że kult Maryi i świętych, cześć obrazów i relikwij w zupełności jest możliwą do przyjęcia. W ten sposób przeszkody zostały usunięte.“

Dr. Ruville pisze dalej, że uznanie konieczności istnienia najwyższego, niezawisłego od państwa i ludu urzędu nauczycielskiego musi prowadzić do uznania papiestwa. A konieczność tę można wywnioskować choćby z panującego w protestantyzmie obecnym chaosu w sprawach wiary. Ruville staje się dalej apologetą katolicyzmu i z zapałem udowadnia, że wolność naukowego badania absolutnie nie stoi w sprzeczności z religią katolicką.

To nawrócenie się niemieckiego uczonego nie jest odosobnione w kołach naukowych. W Niemczech, Anglii i Francyi coraz częściej słyszeć się daje w ostatnich czasach o powrocie tego lub owego wybitnego uczonego na łono kościoła katolickiego.

Ogrodnictwo jako zawód kobiecy.

(Dokończenie).

O zdolnościach kobiecych do zawodu ogrodniczego, a zarazem też o szybkich w tej dziedzinie postępach świadczy także rozwój żeńskich szkół ogrodniczych w Niemczech.

Ze znanych mi powstała najstarsza w r. 1894 w Friedenau, znajdująca się pod kierownictwem panny dr. Elwiry Castner, która od r. 1899 rozwija swoją działalność w Marienfelde pod Berlinem. Inne, jak w Auma (w Turyngii), w Dyseldorfie, w Ettoille (nad Renem), w Godesberg (n. Renem), w Hamburgu, w Holtenau pod Kilonią, w Neu-Watzum pod Wolfenbuettel, w Oberzwehren pod Cassel i badeńska w Schwetzingen, później ujrzały światło dzienne; z tych turyngska w r. 1898, badeńska w r. 1900, wszystkie inne zaś dopiero w naszem dwudziestem stuleciu. Panuje więc tutaj gorączkowa ruchliwość.

Szkoły powyższe, z których tylko badeńska posiada charakter oficyalny, przyjmują panienki co najmniej 16 lub 17 letnie, wymagają lepszego wykształcenia szkolnego (zwykle Töchterschulbildung) i przyswajają uczennicom szersze lub węższe wiadomości fachowe; kursa dla zawodowych ogrodniczek, które w większej części tych zakładów znajdziesz, trwają zwykle dwa lata, są też wszelako i jednoroczne; dalej n. p. kursa dla hospitantek, dla gospodarzenia na własnej posiadłości itd.

Nader krótkie uwagi niniejsze o żeńskiem szkolnictwie ogrodniczem w Niemczech wskazują już na to, że nie należy sobie wyobrażać ogrodnictwa pod względem czasu i kosztów wykształcenia na równi z innemi zawodami, wśród naszych kobiet rozpowszechnionemi, n. p. krawiecczyzną, strojarstwem, kupiectwem i t. d., z drugiej strony *mylnem* byłoby jednakże sądzić, jakoby zawód ogrodniczy był zamkniętym dla niższych i mniej wykształconych warstw. Szeroka sfera zajęć ogrodniczych mieści w sobie *miejsca i szanse zarobkowe* dla kobiet różnych stanów. Wyjaśnia to dostatecznie krótki przegląd gałęzi i stanowisk ogrodniczych i praktyka życiowa. Mamy ogrodnictwo użytkowe, obejmujące n. p. hodowlę kwiatów, nasion, jarzyn, drzew owocowych, zużytkowania owoców itd.; ogrodnictwo artystyczne i landszaftowe zakłada nam n. p. parki; a wreszcie ogrodnictwo naukowe występuje szczególnie na jaw w zakładach naukowych i ogrodach botanicznych. Dość liczne kobiety — jak widzieliśmy — gospodarują na własnych dzierżawnych posiadłościach; inne pracują w ogrodach dworskich, sanatoryach itd., nauczycielki ogrodnicze wreszcie mogą w szkołach ogrodniczych, rólnych, gospodarstwa kobiecego lub też jako kierowniczki własnych zakładów znaleść przyjemne pole działania.

Ściślej się wyrażając, nie winniśmy więc zadawalać się ogólnem pojęciem zawodu ogrodniczego, lecz rozróżnić w szerokim obrębie zajęć ogrodniczych różne zawody. Oczywista nie potrzeba do tych różnych specyalnych zawodów równych przymiotów i równych wiadomości fachowych. Właścicielce np. prostego interesu sadowego starczy drobna część świadomości fachowych, jakie posiadać winna nauczycielka ogrodnicza; za to większą ma dla niej doniosłość, bywa nawet jednym z warunków powodzenia praktyczny zmysł administracyjny i kupiecki. Jasnem jest też dalej, że jak niejeden męzki kolega zawdzięcza swoje stanowisko przedewszystkiem nauce praktycznej, tak też nie koniecznem, aby każda kobieta brała udział w całym kursie szkoły zawodowej. Naturalnie rzecz ważna ukończyć szkołę zawodową; ale kto z góry obiera sobie

gałąź, nie wymagającą pełni wiadomości fachowych, lub komu warunki zewnętrzne na to nie pozwalają, może pracą w odpowiednim interesie praktycznym zdobyć dość szeroki zasób wiadomości, uzupełnić je czytaniem książek i pism fachowych itd., a wreszcie zgłębić choć krótszym pobytem w szkole zawodowej.

Wprawdzie uniemożliwią wyjątkowe stosunki polityczne kobietom naszym i na tem polu wyzyskania wszelkich szans zawodowych pod zaborem pruskim, ale pomijając już większą możność rozwoju w innych zaborach, mamy i u nas dość szeroki teren do uprawy, na którym moglibyśmy stworzyć stanowiska nie tylko dla mienniejszych i gruntownie wykształconych, ale także dla biedniejszych i mniej wykształconych kobiet.

Złote góry nie czekają naturalnie przyszłych kierowniczek nowego ruchu, owszem spotkają je może niejedne wątpliwości, niejedne zarzuty, niejedne rozczarowania. Tak to już w życiu bywa. Nowe idee muszą nieraz walczyć, muszą torować sobie drogę poprzez ciernie i głogi, aż wygładziwszy wszystkie przeciwieństwa i przetrzymawszy próbę ogniową, wykażą żywotność nowych form bytu i zdobędą prawo do życia.

Kobiety odważne chyba nie przestraszą się nowością, chyba nie skryją się za murem ciasnego konserwatyzmu ekonomiczno-socyalnego, ale świadome widoków postępu z bitego gościńca martwoty myślowej śmiało zboczą na ścieżyny, aby „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe!“

W. P.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne,

(Dokończenie).

Z wszystkich napisanych przez krakowskiego poetę *Kazimierza Przerwę-Tetmajera* utworów prozą przedstawiają bezsprzecznie największą wartość szkice i nowele tatrzańskie „Na skalnem Podhalu“ (cztery serye, piąta przygotowuje się do druku), gdyż odtworzone są z niepospolitem znawstwem i prawdziwym artyzmem. Na tem samem tle snuje Tetmajer (z tą tylko różnicą, że tym razem sięga do wieku XVII-go) najnowszą swą powieść p. t. *„Maryna z Hrubego“*. Jest to rzecz historyczna z czasów panowania Jana Kazimierza. Kostka Napierski, nieprawy syn Władysława IV-go, zapragnął odegrać wybitną rolę w Polsce. Wzorując się na słynnym Bohdanie Chmielnickim zgromadził z jego wiedzą, z pomocą sfałszowanych uniwersałów królewskich, chłopów podtatrzańskich i z nimi podniósł bunt przeciw szlachcie. Kostka zajął zamek, Czorsztyn, lecz wkrótce wydany został przez własnych ludzi oblegającemu go wojsku biskupa Gębickiego i poniósł straszną śmierć na palu.

Autorowi nie udało się połączyć pierwiastku historycznego i poszczególnych obrazów z życia ludu podhalańskiego w jednolitą całość, dla tego też dobrze zbudowaną powieścią historyczną nie nazwiemy „Maryny z Hrubego“, ale szeregiem plastycznie odtworzonych scen ludowych o podkładzie dziejowym. Wiedzieliśmy o tem już dobrze, że autor znakomicie oddaje język ludu góralskiego, że zna na wylot cały jego tryb życia, zwyczaje, zabobony; świadczyły o tem wymownie cztery serye „Na skalnem Podhalu“, a także przedewszystkiem one (oprócz poezyj) o umiejętności poety dobierania się do głębi duszy tego ludu i wydobywania na jaw prawdziwych skarbów myśli i uczuć. Wszystko to znajdujemy także w ninieszym utworze. Ale i sceny dotyczące historycznych danych nie mijają bez wrażenia (np. zdrada chłopów w Czorsztynie, śmierć Kostki Napierskiego na palu itd.). Jednakże wypadki dziejowe nie stanowią kulminacyjnego punktu powieści, a i postać Kostki ma tu tylko epizodyczne znaczenie. Esencyą utworu są typy i postacie zawierające w sobie subtelnie zgłębioną psychę ludu tatrzańskiego. Te przemawiają też i tu najsilniej do wyobraźni czytelnika. I nie dziw. „Przywiązanie moje do tego przedmiotu“ — powiedział niedawno poeta — to nie rezultat wyboru literackiego lub mody „tatrzańskiej“, która zresztą przyszła o wiele później. Mam to we krwi. (Poeta urodził się i wychował wśród ludu Podtatrza). Kocham Tatry i lud góralski — tych starych gazdów, żyjących jeszcze dawną mową i dawnym obyczajem, nie tych po zbójnicku stylizowanych, karmiących się ochłapami cywilizacyi, o zepsutej duszy młodzieniaszków, — kocham z namiętnością, że tak powiem, kolekcyonisty, i stąd idą moje utwory „góralskie“, wierszem i prozą, a zwłaszcza „Na skalnem Podhalu“. Pragnę zachować w czystości, na pamiątkę przyszłych pokoleń, tę gwarę i te obyczaje, znikające pod wpływem szkoły, wojska, obcowania z przyjezdnymi „inteligentami“. Tak! ta kultura podhalańska skazana jest na zagładę — i pragnę te resztki ocalić dla potomnych, jak Mickiewicz ostatki szlachty w „Panu Tadeuszu“.

„Maryna z Hrubego“ nie kończy się jeszcze na tym tomie, wkrótce nastąpi tom drugi p. t. „Janosik Nędza Litmanowski.“ — Tetmajer pracuje oprócz tego nad dramatem „Bunt Kostki Napierskiego“, w którym zamierza „raz jeszcze zawrzeć całą psychologię ludu tatrzańskiego“. Fragmenty z „Buntu“ znajdujemy już w najnowszej seryi (szóstej) *„Poezyj“* wydanej w tych dniach u Gebethnera (Warszawa 1910).

A oto jeszcze jeden utwór powieściowy osnuty na tle rewolucyi warszawskiej p. t. *„Niewolnicy ciała“*. Autorem jego : *M. Czerny*. Powieść ta, która wychodziła w roku przeszłym w dodatku arkuszowym „Tygodnika illustrowanego“, a później stanowiła jako osobna odbitka nowość literacką ubiegłego roku, otrzymała obecnie nową sukienkę (kartę tytułową i okładkę), a to dla tego, że „Niewolników“ skonfiskowano w Warszawie (tu ich drukowano), wobec czego cały nakład powędrować musiał do Krakowa, gdzie zaopatrzony został w nową szatę zewnętrzną z rokiem 1910 jako datę wyjścia. Ta konfiskata, dokonana z tej racyi, że autor bez osłonek przedstawił kilka dni „rewolucyjnych“, jest także przyczynkiem charakteryzującym obecny stan „wolności“ w Królestwie Polskiem — i to po zniesieniu cenzury!
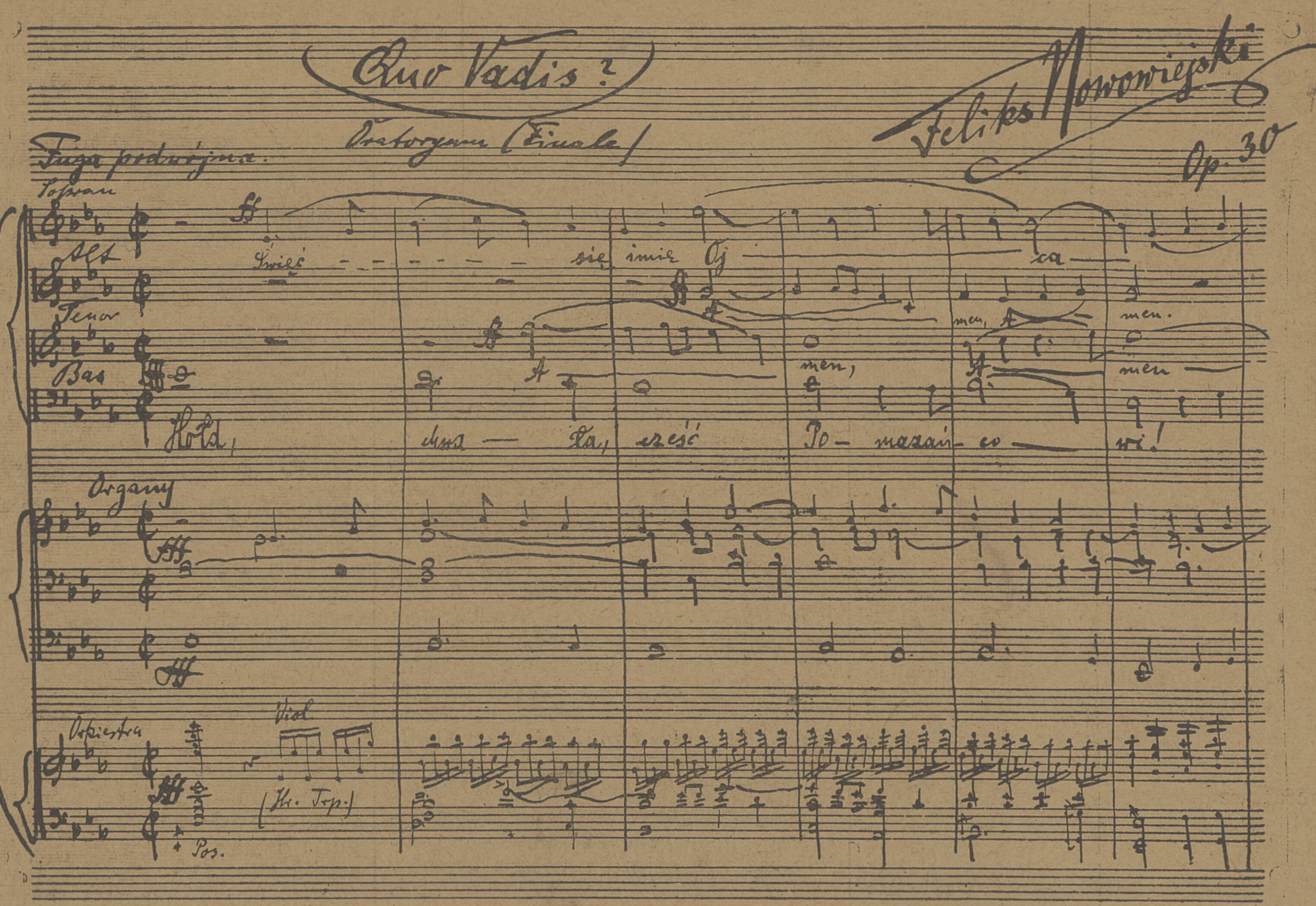
Co do powieści samej, to wliczyć ją można w poczet lepszych utworów należących do tak zwanej „literatury krwawej“. Nieco za jaskrawy rysunek i pewną naiwność w kompozycyi i sytuacyach, oraz styl niezbyt zręczny, wynagradzają inne dodatnie strony, a więc nieźle naszkicowane figury, ciekawe obrazki rewolucyjne, środowisko wcale trafnie zaobserwowane, wreszcie poetyczny nastrój, rozświetlający gdzieniegdzie ponurą prozę życia. Największą atoli zaletę pióra Czernego (zauważyliśmy to już w innych jego utworach: „Straceńcy“, „Odłogiem“ itd.) stanowi jego szczere współczucie dla nędzy ludzkiej, dla wszystkich twardą ręką losu gnębionych osobników. A czasy, jakie autor opisuje, pochłonęły mnóstwo ofiar, wydały na łup srogiego losu setki i tysiące ludzi w dobrej wierze działających, wierzących w swoje wielkie posłannictwo... Tym użycza autor najwięcej ciepła ze swego litością wezbranego serca, nie szczędząc przytem słów potępienia złym pierwiastkom owej doby: egoizmowi, samowoli, gwałtom i bratobójstwu. — —

Do szeregu powieści *M. Rodziewiczówny* wydanych powtórnie z okazyi jej jubileuszu przybył obecnie *„Klejnot“*. Jest to wydanie trzecie tej powieści. „Klejnot“ zawiera sporo nieprawdopodobieństw i sytuacyj niezwykych, należy jednakże do celniejszych pism autorki, a to dla tego, że i tu odzywa się ulubiona jej idea — silna i szlachetna — odrodzenia przez ziemię. Apostolstwo dobra społecznego i narodowego, jakie w utworach swoich uprawia Rodziewiczówna, zawsze liczyć może na gorące przyjęcie i szczere uznanie. Wobec tak szczytnie przez autorkę pojmowanego zawodu literackiego, wybaczamy jej chętnie brak artystycznego obrobienia szczegółów w obrazach powieściowych, oraz przesadę w doborze linii i barw.

Głębokie i wytrwałe przekonanie
większą ma wartość, niż gorący zapał.
Wincenty Pol.

* * *

Niczyjej woli nie jestem sługą,
Nie kryję piersi zbrojną kolczugą,
Ust mych nie kazi klątwa na ludzi,
Ni rąk mych plama krwi bratniej brudzi.
Włodzimierz Wolski.



Z „jednodniówki“ Znicza.

Hajota.

POCIECHA.

Jaki piękny dziś zajaśniał
Dla mnie ranek;
Moja luba się ustroi
W ślubny wianek.

Przez lat cztery ją kochałem
Jak najwierniej;
Miłość dała mi róż trochę,
Dużo cierni.

Jedną wielką wadę miała
Moja miła,
Nigdy w stałość moich uczuć
Nie wierzyła.

Zarzucała mi przeróżne
Wykroczenia;
A jam musiał ciągle żebrać
Przebaczenia.

Mój egoizm z niegrzecznością
Szedł w zawody,
Gdym wprzód sobie, niż jej nalał
Szklankę wody.

I bywało, we łzach toną
Śliczne oczka,
Bom zapomniał, jakie imię
Jej buldoczka.

A raz nawet odesłała
Mi pierścionek,
Kiedym zgubił dane próbki
Crême koronek!...

I wręcz wówczas oświadczyła
Oburzona,
Żem kochanki takiej nie wart,
Jak jest ona.

Żem głaz zimny, że nie umiem
Kochać szczerze
I że ona „więcej daje,
Niźli bierze“.

A gdym spytał, jakim cudem
Rzecz się stała,
Że mnie dotąd z serca swego
Nie wygnała. —

Na to rzekła ze łzą w oku
I z westchnieniem,
Że kobieta zawsze żyje...
Poświęceniem.

Wszystkom znosił z cierpliwością
Męczennika,
Ale czułem, jak coś w sercu
Blednie... znika.

I poznałem sam na sobie
Prawdę srogą,
Że drobnostki wielką miłość
Zabić mogą.

I dlatego czuję ulgę
Potajemną,
Że dziś luba ma ślub bierze,
Lecz nie ze mną!

Nasze ryciny.

Roman Lewandowski: „Nokturn.“

Utwór muzyczny, niewielkich rozmiarów, pisany zwykle na fortepian, o nastroju smutnym i rzewnym, nazywa się „Nokturn.“ Sama nazwa pochodzi od wyrazu łacińskiego *nocturnus* t. j. nocny.

Najpiękniejsze nokturny komponował największy muzyk polski Fryderyk Chopin, którego setną rocznicę urodzin obchodzić będziemy w roku bieżącym dnia 22-go lutego.

Znakomity nasz rzeźbiarz-artysta Roman Lewandowski wykonał piękną rzeźbę kobiety, której dał nazwę „Nokturn.“ Reprodukcyę zamieszczamy na albumowej rycinie.

Nowe książki i treść pism.

— **„Zjednoczenia,“** organu Zjednoczenia Towarzystw Kobiecych oświatowych na rzeszę niemiecką, wyszedł nr. 1-szy rocznika II-go i zawiera następującą treść: Doniesienie Zarządu. — Na Nowy Rok. — Vittoria Colonna, obraz z czasów renesansu włoskiego. — W jaki sposób mogą nasze towarzystwa przyczyniać się do szerzenia wiedzy pedagogicznej? — Ruch kobiet w innych społeczeństwach. — Przegląd czasopism. — Kalendarzyk zebrań. — Ogłoszenia.



Artur Oppman.

Zabawy staropolskie.

KULIGI I SZLICHTADY.

Hucznež to, a buńczuczne bywały staropolskie zabawy karnawałowe! Do najulubieńszych należały kuligi i szlichtady. Zazwyczaj rozpoczynały się one już od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, a trwały do Popielca. Krewni, znajomi, przyjaciele zbierali się w jednym z dworów szlacheckich, stamtąd zaś, gwarną drużyną, czyniono najazd na domostwa okolicznych ziemian. Z muzyką, z pieśnią wesołą wyruszał kulig ochoczo; sadzono się na świetne sanie, drogiemi zasłane futrami, na uprzęże złociste, dywdyki wschodnie, stroje wspaniałe! Często kulig cały przywdziewał charakterystyczną odzież jakową, udając bądź wesele krakowskie, bądź żydów, bądź cyganów, bądź też wreszcie hordę tatarską. Hajducy z kagańcami smolnemi przyświecali w drodze. Część gromady rozbawionej w saniach, część konno, na perskich, arabskich i polskiej rasy biegunach, gnała z kopyta, trefnemi żarty, a gędźbą, a śpiewaniem drogę skracając. Przodem, o godzinę orszak wyprzedziwszy, pędził tradycyjny arlekin z trzepaczką w lekkich saneczkach, w bystrego kłusaka jednochodźca, zaprzężonych; arlekin ów wpadał, jak burza, do dworca, który najechać zamierzano, a skacząc po stołach i krzesłach, bił trzepaczką kogo napotkał, wołając na całe gardło: „Ej, kulig! kulig! kulig!“ Tak uprzedzony gospodarz wytaczać kazał z piwnicy baryły starki litewskiej, beczki miodu trojniaku i wystałego węgrzyna, antały petercymentu i małmazyi; w stajniach obrok, choćby i na setkę koni grykować polecił, rostruchany, puhary, kusztyki, „kulawki“ olbrzymie z kredensu dobywał i przywdziawszy żupan a kontusz odświętny i złotolitym opasawszy się pasem, rad czekał na miłych gości.

Jejmość pani tymczasem z córami, a z dziewkami służebnemi w kuchni rej wiodła, krzątając się około wieczerzy. Szły tedy z apteczki smakołyki domowej roboty, przyprawy, zaprawy, korzenie rozliczne: szafran, imbier, muszkat, smarzeniny z owoców ogrodowych i leśnych, w bród było tam dostatków śpiżarnianych o zapobiegliwości gospodyni zacnej przednio świadczących: Ptasiego jeno brakło chyba mleka!

A owe pieczenie i polędwice wołowe! a owe cąbry jelenie i sarnie! a owa mnogość zajęcy, ptactwa dzikiego, drobiu, ryb, legumin! a słodkie dania na wety: arkasy, blamasy, bianki, tortele, obermusy, talamazy! a ktoby to wszystko policzył!



Polonez.

Policzyć jak policzyć, ale zjeść nie tak trudno będzie onej kalwakacie wesołej, co oto już z brzękiem a szczękiem przed dworzec zajeżdża!

W oknach świateł nie wiele, bo gospodarstwo udawać muszą, że kulig niespodzianie ich zaskoczył: tego grzeczność starodawna wymaga koniecznie. Nic to jednak! radzi witają i pan i pani sypiących się hurmem gości: śmiech, gwar, szczebiot panieński, koncepty jowialnych staruszków, komplimenty młodzi rycerskiej ożywiły znienacka starą siedzibę szlachecką. W lot zapalono świece jarzące, na kominy ogromne drew dorzucono smolnych i jaskrawy, przepyszny obraz oczy zachwyca: Czerwień, błękit, srebro, złoto, pióra strusie, kity czaple, drogie kamienie tęczowemi barwami lśniące z maneli, z zausznic, z kanaków kosztownych, z guzów żupanów i kontuszów, z rękojeści karabel złożyły się na widok wspaniały.

Kapela kuligowa, otrzepawszy się ze śniegu i, na rozgrzewkę, po kielichu gorzałki wychyliwszy, brząkać poczyna ochoczo i znagła zabrzmiały poważnego poloneza tony. Wije się wąż barwisty po sali: głowy golone, wąsy sumiaste, kołpaki na szablach, wyloty w tył; matrony w robronach, dziewice w kontusikach, futerkiem bramowanych cennem, warkocze po kolana, wstęgami kraśnemi przetkane, oczy, jako gwiazdy, liczka, by lilie i róże!

Po „odbijanym“ dziarski mazur zahuczał, zadudnił. Starzy, miejsca w taneczku młodzieży ustąpiwszy, w bocznych komnatach zasiedli. Ci prawią o łowach, o urodzajach, o cenie zboża w Gdańsku; owi de rebus publicis gawędzą, gorzkie nowiny słodkim zapijając miodem; insi jeszcze do kart się wzięli: grają w tryszaka, w ślepego maryasza czyli kiksa, w rumel-pikietę, w ćwika!

A owo już gospodarstwo do wieczerzy wzywają. Po tanach, po gawędzie,

po grze miło zasiąść przy stołach, sutą zastawionych biesiadą, w kompanii zacnej, a krotochwilnej. Zrazu jeno brzęk łyżek i nożów słychać: je każdy a zapija! potem zasię dopiero, gdy niewiasty z młodzieżą, podjadłszy okwito, znowu do skoków się mają, jako, że to białogłowy, a smyki zawżdy na pląsy one łase, potem dopiero męże dojrzałe spełniają puhary mnogie, przyśpiewując sobie dla uciechy, alboliteż rytmami i sentencyami trefnemi do kielichów się zachęcając.

A na końcu uczty wyjmuje gospodarz z puzdra puhar srebrny, dwukwartowy, bez nogi, z takowym napisem:

„Ludzie wzięli mi jedną, ja im lepiej zrobię,
Bo za jedną swą nogę odejmę i obie!“

I wlawszy w olbrzyma flaszę wielką węgrzyna puszcza go w kolej. Krzepkie łby, mościpanie, ma szlachta karmazynowa, alić i jej się po trzeciej kolejce zakurzą czupryny, a oczy na sen się zwierać poczną; a i młodzież nahasała się do syta. — Spać pora!

W dwu tedy wielkich izbach siana świeżego na podłodze nasłano, kilimami przykrego: w jednej izbie płeć biała, w drugiej mężczyźni śpią pokotem do rana, a rano po barszczyku, po polewce piwnej i bigosie hultajskim hajda! w drogę dalej do pobliskiego dworu, gospodarza i gospodynię z konsolacyą pospołu, w jasyr, jakoby Tatarzyny, zabrawszy!

Kuligi takie przebiegały powiaty, ba! województwa całe! Okrom zabawy miały one i tę dobrą stronę, że łączyły w jedną gromadę, daleko nieraz od siebie mieszkającą, szlachtę. Zwaśnieni godzili się, bywało, urazę topiąc w winie; możniejsi z uboższymi bratali się w wirze kuligowej uciechy; niejedno małżeństwo doszło do skutku, wiążąc krewieństwem rodziny na dwu przeciwnych krańcach województwa mieszkające. Cały kraj bawił się, łączył ze sobą, porozumiewał się wzajemnie, jak jedna wielka rodzina. A na przyjaźń raz zawiązaną liczyć było można: sojusz taki trwał już do zgonu i splamił by klejnot szlachecki ktoby druha i pobratymca w niedoli opuścił!

Jak popularne były kuligi dowód w tem, że i Królestwo Ich mość udział w nich miewali niekiedy. W roku 1695 d. 20 stycznia odył się wspaniały kulig w Warszawie. Opisał go Ludwik Klermont, sekretarz Maryi Kazimiery. (Opis ten przedrukował „Kuryer Warszawski“. 1827 r. N. 220, oraz Gołębiowski Łukasz w dziele swojem: „Gry i zabawy“). Wezwani goście zjechali się do pałacu Daniłowiczów, gdzie była później biblioteka Załuskich. O trzeciej z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył w następującym porządku: 24 Tatarów konno ze służby królewicza Jakóba; dziesięcioro sań, każde zaprzężone w cztery konie szydłem t. j. koń za koniem, na każdych sankach inna kapela, a więc: żydzi z cymbałami, trębacze, Ukraińcy z teorbanami, fajfry, janczarska muzyka itp., dalej jechało 107 sań, każde w czwórkę; sanie pokryte były kobiercami drogimi lub lamparciemi, lwiemi, tygrysiemi, sobolemi futrami; konie ustrojono w pióra, czuby, chwasty, kokardy, opony kosztowne, obok sań młodzież dworska konno jechała.

Na końcu w saniach w kształcie pegaza siedziało 8 młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze ułożone przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. (Chrościński, sekretarz królewicza Jakóba, poeta oryginalny i tłómacz Owidyusza i Lukana, Ustrzycki, opat mogilnicki tłómaczył z łaciny, z francuskiego i włoskiego). Oddział drabantów królewskich zamykał orszak.

Zajechano naprzód do dworu Sapieżyńskiego, potem do Radziwiłłowej, siostry Jana III-go, do wojewody Potockiego, do młodego Lubomirskiego, do Ujazdowa. Wszędzie tańczono chwilę i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa „gdzie oboje Królestwo Ichmość byli gościom radzi z całego serca“. Częstowano wszystkich, nawet służbę dworską, co trwało do późna. Cała kalwakata wracała przy pochodniach; tych było 800!

Fryderyk Szulc, który zwiedzał Polskę w roku 1793 pisze w pamiętnikach swoich (wydanych w przekładzie w „Bibliotece pamiętników i podróży po dawnej Polsce“. Drezno 1870. Nakład Kraszewskiego), że zimą przejażdżki sankami, kuligi były w Warszawie zabawką ulubioną... „Jak tu wszystko zbytkownie jest urządzane — opowiada Szulc, nawiasem mówiąc, haniebnie dla nas usposobiony, — tak też i sanie. Budowano je nader rozmaitemi kształty, wielce oryginalnemi i dziwacznemi, na jedną, dwie, cztery osoby, po większej części bogato lakierowane, z ozdobami bronzowemi, srebrnemi, złotemi. Podobierano do tego uprząż, ozdoby, pokrycie koni i najlepsze ze stajni bieguny. Ozdobą, którą tu raz pierwszy widziałem, były u obu dyszlowych koni dwie długie sztuki jedwabnej kolorowej materyi, gładkie lub w pasy, przytwierdzone z boków i umocowane do sani. Broniły one jadących od ciskania błotem i śniegiem, które podkowy końskie często chwytają, i wyglądały przy prędkiej jeździe, jak rozpięte żagle“.

Zmieniły się czasy; o kuligach dziś ani słuchu; w książkach tylko starych zachowały się wspomnienia o nich, a w muzeach i skarbcach rodzinnych przechowują do dzisiaj owe sanie o dziwacznych kształtach opisywane przez żółciowego pana Szulca.

Kazimierz Gliński.

KULIG.

Skrzy się, śnieży step w brylantach,
Rozciągniony w dal,
Sunie kulig strojnie, hucznie
Wśród śnieżystych fal.
Gwar wesela
W grzmot wystrzela
Przy odgłosie ech,
W nieskończoną
Dal omgloną
Płynie pieśń i śmiech.

Za parami suną pary;
Złoto, czerwień lśni;
Arlekiny i maszkary
Zapomnianych dni.
Grzmią wystrzały,
Aż step cały
Odzywa się wraz,
Brzmi piosenka
W takt bębenka:
„— A witajcie nas!“

Świeci miesiąc, gwiazdy — zorze
Z tajemniczych sfer...
Śnieg, jak fale, step, jak morze.
Biją w szum i szmer.
We sto koni
Kulig goni,
Wije się, jak sznur...
W oddaleniu,
W mgły odzieniu
Widać stary dwór.

„— Hej! rozszerzaj gospodarzu,
Kąty swoich ścian —
Skrzypiciele z nami jadą,
Z nimi jedzie — tan!“
Drgnie pobudki
Okrzyk krótki —
I Mazury w lot,
Jak rzek fale
Po przez sale
Pomkną w barwny splot...“

Grzmią już pieśni strun pieszczotą,
Szumi dom, jak ul —
Mija czerwień, bławat, złoto,
Rycerz, paź i król...
W mazurowy
Rytm miarowy
Sunie się sto par —



Herold.

Herold, sługa a raczej urzędnik królewski, ogłaszający wolę władcy uroczyście narodowi, wojnę lub pokój i t. p. Starożytni królowie greccy używali już w tym celu heroldów. W wiekach średnich urządzali i dozorowali heroldowie zabawy rycerskie (turnieje), przestrzegali, aby rycerze swoje herby na tarczach nosili i t. p. Dla tego heroldyą nazywa się urząd, który rozpatruje dowody szlachectwa czyli bada legitymacye szlacheckie. W Królestwie Polskiem urząd ten istniał od 1831 do 1861 r.

Bez pamięci
Tan się kręci
Przy pobrzęku czar.

Sunie barwny pas bez końca,
Utula się w mgły —
Gasną gwiazdy, tęcze, słońca,
Ziemia cicho drży.
Jak z za świata
Szmer dolata,
Okrzyk — pieśń i śmiech —
Ledwo w ciszy
Ucho słyszy
Odgłos smętnych ech.

W życiu mem prawdy wytknąwszy drogę,
Udawać nie chcę, kłamać nie mogę.

Wacław Szymanowski.

* * *

Drwi sobie z hołoty,
Kto grosza uporał;
Procenta — to cnoty,
Brzuch pełny — to morał.

Tenże.

* * *

Nazwalibyśmy zapewne cudem zgaśnięcie słońca, a nie zowiemy już cudem patrząc, jako się wznosi.

Aleksander Tyszyński.

Gałązka heliotropu.

Obrazek karnawałowy.

Napisała G**

Powóz pani Kalińskiej stanął przed kamienicą, a śnieg spadający dotąd gęstemi płatkami ustał na chwilę, jak gdyby przez wzgląd na strojne tualety pań wybierających się na zabawę.

— Jan zajechał! zawołała pani domu wyglądając już niecierpliwie oknem po przez piękne firanki koronkowe, — czy jesteś gotową dzieweczko?

Helena, urocza siostrzenica pani Kalińskiej, biegała szybko po pokoju zabierając jeszcze to i owo — niezbędne przedmioty na wieczór tańczący. „Otóż jestem cioteczko“, rzekła nakoniec stając na progu salonu.

— Zbliż się Heluniu, — rzekła troskliwie ciotka. — Śpinka przy pasku nie jest dobrze zapięta, uważaj, byś jej nie zgubiła i otul się dobrze zarzutką, bo chłodno dzisiaj niezwykle... no, a teraz chodźmy dziecko!

I pani domu rozpoczęła majestatycznie pochód poprzedzona lokajem Piotrem, który kroczył uzbrojony w ogromny parasol, podczas kiedy garderobiana Rózia, unosiła zręcznie wspaniały tren aksamitnej sukni. „Zaczekaj jeszcze chwileczkę Heluniu — zawołała na zdążającą za nią siostrzenicę, — skoro wsiądę do powozu, przyślę ci zaraz Piotra i Rózię“, lecz panienka nie lubiąca znać takich splendorów, zarzuciła spiesznie przez rękę powłok gazowej sukienki i lekko jak rusałka dotykając zaledwie ziemi atłasowym trzewiczkiem, wybiegła na schody.

— Co za nieostrożność Heluniu! — wołała ciotka zgorszona, — przeziębisz się z pewnością.

— Stało się to tak prędko cioteczko, że nie uczułam wcale zimna, — mówiła tymczasem panienka siadając obok ciotki w powozie z miną skruszoną, na pozór z powodu swego nieposłuszeństwa. — Zresztą śnieg już nie pada i przeszłam do powozu zupełnie suchą nogą.

Pani Kalińska przekonawszy się, że istotnie siostrzenica jej nie poniosła żadnego szwanku, wsunęła się w głąb

powozu, tymczasem panienka zadumana także przyglądała się przesuwającym się przed oczami latarniom gazowym.

— Z kim tańczysz pierwszego kadryla Heluniu? — zapytała po chwili ciotka.

— Z panem Solińskim ciociu — odparła zapytana krótko.

— Nie bardzo jesteś zadowolona z tego, zdaje się...

— Ależ owszem ciociu! Wszakże pan S. podług wielu, a szczególniej też podług własnej opinii, będzie jednym z najwięcej dystyngowanych młodzieńców na dzisiejszym balu.

— W istocie jest to młody człowiek bardzo przyjemny, ale sądziłam, że pan Molski...

— Oh tego, jak ci wiadomo, zajmie całkiem pani domu. Jakże mógłby udać się kotylion, gdyby przybrakło komendy tak niezbędnego i niezrównanego mistrza.“

— Nie wiem, czemu wyrażasz się z takim przekąsem, Heluniu, o młodym Molskim. To bardzo dobry chłopiec.

— Niewątpliwie cioteczko, — lecz to nie jego zasługa, nie umiałby być innym.

— Jest zawsze nader uprzejmym dla ciebie...

— Ależ dziecko, jesteś strasznie wymagająca, na prawdę.

— Bynajmniej cioteczko, wszakże obchodzę się zawsze bardzo grzecznie z mymi tancerzami.

— Mniejsza już o tancerzy Heluniu.... Od trzech lat jak bywasz w świecie, zdarzały ci się rozmaite dobre partye. Młodzi ludzie majętni, inteligentni, ludzie pracy znakomici... a zdecydować się nie możesz! Otwarcie mówiąc, — zaczyna mnie to nużyć i straciłam już całkiem nadzieję wydania cię za mąż...

— Ach to bardzo dobrze ciociu!...

— Chcesz więc zostać starą panną?....

— Być bardzo może...

Pani Kalińska zagłębiła się jeszcze więcej w powozie, trzymając wszakże prosto głowę w obawie nadwyrężenia misternej koafiury i rzucała tylko pogardliwe spojrzenia ku oknu. Przez kilka chwil panowało głębokie milczenie, aż nakoniec śliczna głowa panienki przytuliła się pieszczotliwie do ramienia ciotki i głos słodki się ozwał:

— Rozgniewałam cię cioteczko, przebacz mi, jesteś rzeczywiście zbyt pobłażliwą, zbyt dobrą dla...

— Cicho, cicho dziecko... Heluniu nie mów już ani słowa, wiesz, że wzruszenia wszelkie tak mi szkodzą, widzisz już płaczę... jakże będę wyglądała z tym pudrem...

Głośny śmiech, wesoły i szczery, jaki wydobywać się może tylko z ust młodych i swobodnych, zabrzmiał w karecie i starsza kobieta zawtórowała mu mimowoli: „Wszakże mamy pudełko z pudrem i puszek, cioteczko, poprawimy tualetę w garderobie...

— Mniejsza już o to, ale po cóż robisz mi takie sceny, niedobre dziecko?

— Jestem tak zdenerwowana....

— To widoczne... nie mniej bawisz się zawsze wybornie na balach?

— Prawda, gdyż wogóle lubię ruch wszelki. Na balu można go użyć doskonale tak samo jak biegając dłuższy czas szybkim krokiem po ogrodzie.

— Jesteś ekscentryczną, biedna Heluniu! Główny urok balu to przecież robienie znajomości, czasem nader przyjemnych i zajmujących...

— Ciotuniu, nie dotykajmy już tego przedmiotu...

— Istotnie, nie rozumiem cię zupełnie, dziecko; bo jeżeli ty nie miałabyś wyjść dobrze za mąż, to któraż panna ma więcej danych po temu? Jesteś majętna, sympatyczna...

— Czasami szorstka nieco...

— To się zmieni. Masz usposobienie szczere, wesołe, inteligencyą niezwykłą...

— Rumienię się ciociu tak, że będziesz musiała użyczyć mi twego pudru...

— Serce złote, wychowanie staranne.

— No to już chyba zasługą twoją cioteczko! Lecz skoro poruszyłyśmy ten przedmiot, chciej być przekonaną, że nie wyrzekam się zamążpójcia, jestem jednakże istotnie jak powiedziałaś, wymagającą bardzo...

— Ale Heluniu, miałaś przecież tak świetne partye.

— Przyznaję ciociu; lecz co do mnie mało przywięzuję wagi do przymiotów, które świat ceni zwykle; szukam jak niegdyś Diogenes człowieka! Za dni jego pewno łatwiej to było, dzisiaj może nakoniec rutkę siać mi przyjdzie, choć po prostu pragnę tylko znaleść człowieka o sercu niezatrutem samolubstwem...

Pani Kalińska poruszyła się niecierpliwie.

— Uważasz ciociu, że to nie jest praktycznie — ciągnęła dalej panienka.

— Trudno, jestem tak nierozsądną, iż chciałabym być naprawdę szczęśliwą, a to właściwie także praktyczność w swoim rodzaju.

— Drogie dziecię, — zaczęła ciotka tonem uroczystym, jakim zwykle wygłaszała swe poglądy i zdania. — Drogie dziecię... cóż się stało na Boga?

W tejże bowiem chwili, kareta zatrzymała się nagle, a Helena spuściwszy szybę, wyjrzała oknem na ulicę.— A więc cóż się dzieje? — pytała dalej pani K. zaniepokojona.

— To nic ciociu, przybywamy tylko znać zawcześnie lub zapóźno; dziedziniec jest tak zapełniony powozami, iż dalej nie możemy się posunąć, trzeba więc zaczekać, aż inne powozy zrobią nam miejsce.

— A to ciekawe! zamknij tylko okno Heluniu, zimno jest przeraźliwie.

Powóz posunął się jeszcze kilka kroków i stanął wreszcie wprost latarni, która rzuciła jasny blask do wnętrza, oświecając wspaniałą suknię aksamitną wiśniowego koloru i kosztowne brylanty pani Kalińskiej jak nie mniej śliczną twarzyczkę i postać Heleny, otuloną w przezroczyste, białe tkanny.

Ciotka zaniechała już dalszego ciągu swych uwag nad dziwacznym sposobem myślenia swej siostrzenicy, ponieważ nieprzewidziana przeszkoda całkiem popsuła jej humor. Helena zaś zdając się obserwować bacznie odblask światła latarni drgający na białej powłoce śniegu, snuła dalej nić swych myśli i uczuć wywołanych co dopiero przerwaną rozmową.

— Ciociu, zapytała nagle panienka, czy sądzisz że pan Jerzy „odludek“ przybędzie dzisiaj?

— Przypuszczam, że go nie będzie. Jeżeliby bowiem miał przybyć na bal dzisiejszy, nie ukazawszy się na żadnym z wieczorków tej zimy, dowiódłby tem samem, że jest już nietylko odludkiem, lecz niegrzecznym po prostu.

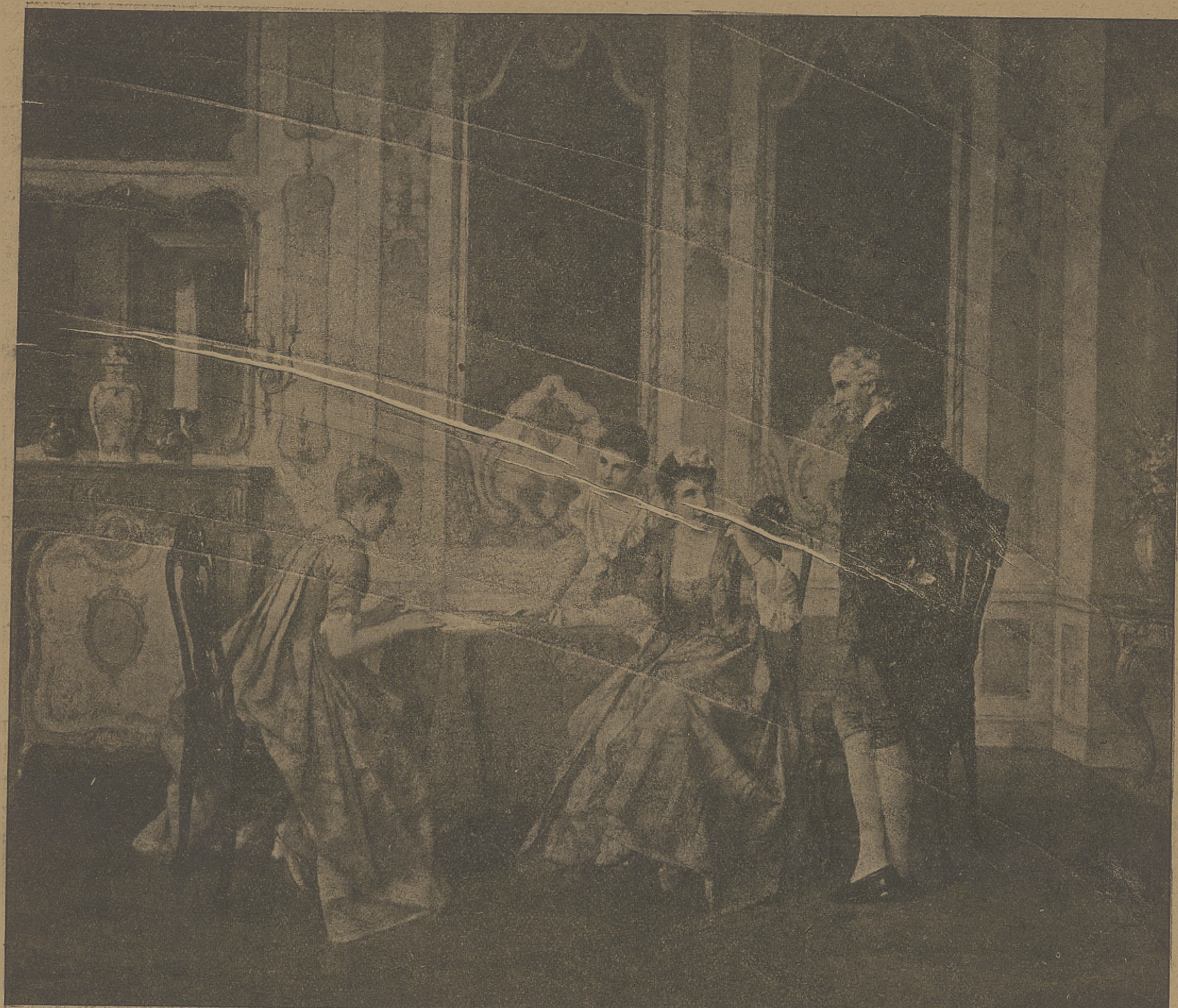
Helena uśmiechnęła się z lekką ironią.

— Wyrażasz się o nim teraz tak ozięble, ciociu! — rzuciła.

— Wyznaję to szczerze, lecz po prawdzie nie zasługuje też na moje względy. Przypominasz sobie, jak go przyjęłam dobrze, gdy przybył tutaj; zanadto uprzejmie nawet, lecz upoważniał mnie do tego list mojej siostry Ciwińskiej: — Jestto młody człowiek nader dystyngowany, którego znam od dziecka — pisała. Skończył nauki świetnie i pracuje teraz gorliwie, dopomagając rodzinie, którą śmierć ojca pogrążyła w niedostatku. Gdybym miała syna, pragnęłabym, aby podobny był do Jerzego Rowicza.

Pani Kalińska zamilkła, a panienka uśmiechnęła się znowu. — Jakże dobrze przypominasz sobie list ten, masz wyborną pamięć ciociu.

— Wiesz dobrze, że pamięć mam lichą, Heluniu, lecz odczytywałam list



Wróżenie z kart.

ten tak często i to znowu myśląc o tobie, drogie dziecko.

— Kochana moja ciotunia!...

— Gdy ujrzałam po raz pierwszy tego młodzieńca, powiedziałam sobie: ten będzie mym zięciem, a raczej siostrzeńcem moim... i w tej myśli przyjmowałam go jak nie można lepiej. Z paczątku przychodził dość często, pamiętasz, gdy potem naraz przestał bywać zupełnie. Zaproszenia moje zbywał jakimś naciąganym brakiem czasu itd. Przyznam ci się, że dotąd nie pojmuję co mu się stało...

Młoda dziewczyna oparła głowę o poduszki karety i lica jej oblały się żywym rumieńcem, znać, że ona rozumiała postępowanie Jerzego.

Na razie wzięcie jego poważne i zimne nie przypadło jej do gustu, będąc od dziecka pieszczoną i ubóstwianą, posądzała go o szorstkość i brak uprzejmości. Jestto prawdziwy odludek, mówiła, a że dla wielu zdanie Heleny było wyrocznią, więc młody człowiek w poufnych kółkach otrzymał wkrótce to miano.

Pan Jerzy wszelako choć nie był człowiekiem światowym w całem znaczeniu tego słowa, umiał być nie mniej obok wysokich przymiotów duszy ujmującym w obejściu; to też po bliższem poznaniu obudziła się w jej sercu szczera dla niego sympatya, a nawet żywsze uczucie. Jakkolwiek młody człowiek zdawał się nie widzieć i nie rozumieć tego i okazywał się wobec niej zwykle zimnym i małomównym, nie obrażało ją to bynajmniej odgadnąwszy intencyę właściwą każdej kobiecie, powód tej pozornej oziębłości. Powstrzymywał on silną wolą słowa cisnące mu się na usta, a jednak promień rozjaśniający czasem myślące czoło młodzieńca i blask bijący z pięknych jego oczów, zdradzał tajemnicę serca. Kochał Helenę, lecz wielki jej majątek stawał na przeszkodzie do wspólnego ich szczęścia. Starał się więc unikać swej ubóstwianej i bywał coraz rzadziej w domu pani Kalińskiej, która nie umiejąc odgadnąć tych powodów była do żywego oburzoną oświadczając Helenie, że obojętność Jerzego przechodzi wszelkie granice i że siostra jej pani C. najzupełniej omyliła się co do jego charakteru.

Helena słuchała z uśmiechem wynurzań ciotki, nie wyjawiając wszakże swego zdania; ona bo przeczuwała hart duszy w Jerzym ukrywający się pod pozorami mizantropii i czekała ufna w Opatrzność Bożą, iż nadejdzie nakoniec dzień, który ich zbliży do siebie.

— Heluniu wyjrzyj no oknem, czy jeszcze jechać nie możemy? — zapytała teraz ciotka.

Panienka wyrwana z zadumy zaczęła spiesznie wycierać batystową chusteczką zamglone szyby i nagle okrzyk litości wydarł się z jej piersi. W pobliżu bramy hotelu siedziała blada dziewczynka może dwunastoletnia piastując na ręku otulone w łachmany dziecko, drugą zaś, w której trzymała bukiecik z gałązek heliotropu, wyciągała ku przechodniom prosząc o jałmużnę w zamian za kwiaty.

— Ciotuchno, czy nie masz przy sobie pieniędzy? — zapytała przejęta tym widokiem panienka.

— Nie dziecko kochane, bo zapewne nikt dziś do gry nie zasiądzie, odparła ciotka zniecierpliwiona już nieco długiem wyczekiwaniem.

— Mój Boże, cóżby dać tej biednej, chyba wachlarz, a może lepiej bransoletkę...

— Co mówisz Heluniu! co chcesz uczynić, znów jakaś ekscentryczność! tylko cię błagam nie wysiadaj z powozu, mróz taki przejmujący...

— To też właśnie cioteczko, trzeba nie mieć litości, aby zostawić dłużej...

Helena zatrzymała się nagle; dwóch panów w paradnych futrach, którym za długo było znać czekać w powozie, przesunęło się tuż obok karety. Byli to panowie Soliński i Molski a krocząc ostrożnie, by nie zabrudzić eleganckich lakierków i śmiejąc się wesoło, minęli obojętnie biedne dzieci.

— Muszę jednakże wysiąść, chciej się tylko na chwilę otulić zarzutką ciociu...

— Zabraniam ci stanowczo wysiadać Helenko! zawołała teraz przestraszona ciotka, — skoro zajedziemy powiem Janowi...

— Może już będzie zapóźno wtedy... Młoda dziewczyna otwierała już drzwiczki od powozu, podczas gdy zirytowana naprawdę ciotka otulając się mocno, perswadowała jej jeszcze. lecz —— nie wysiadła przecież! W małem oddaleniu za panami, którzy co dopiero byli przeszli, postępował znów młody mężczyzna nie mniej wytwornej powierzchowności, choć odziany tylko ciepłym paletotem, a spostrzegłszy nędzarkę zatrzymał się przed nią.

Blada dziewczynka na wpół skostniała od zimna, zaledwie zdołała utrzymać w ramionach płaczącą siostrzyczkę i wyciągając jeszcze błagalnie bukiecik heliotropu, opierała się o bramę, bliska zemdlenia.

Helena słyszała jak młody człowiek, w którym odrazu poznała Jerzego, przemawiał łagodnie do biednych dzieci i biorąc delikatną gałązkę heliotropu, wcisnął do ręki rozpromienionej dziewczynki dukata. — Idźcie teraz do domu dzieci, — rzekł jeszcze — zbyt zimno dzisiaj na dworze.

Dziewczynka wstała posłuszna, lecz znużona i zziębnięta zachwiała się niezdolna ujść kroku. — Gdzie mieszkasz, biedne dziecko? — zapytał teraz młodzieniec, a otrzymawszy odpowiedź, wziął na rękę małą jej siostrzyczkę i przeprowadził bezpiecznie dzieci przez długi rząd karet i parskających koni, stojących przed hotelem. Helenka obserwowała bacznie całe to zajście, a swawolna często panienka, nie śmiała się w tej chwili przecież, — oczy jej zaszły łzami!

Kareta posuwała się teraz szybko i zatrzymała wreszcie przed bramą na rozcież otwartą. Lokaj zbiegł spiesznie ze schodów — by otworzyć drzwiczki.

— Nareszcie, — rzekła pani K. z pewną ulgą w głosie.

— Ach to już! szepnęła Helunia z żalem.

— Spieszmy się dziecko, — mówiła ciotka zakłopotana wielce, spóźniłyśmy się ogromnie, widocznie wszyscy już są zebrani.

W istocie tańce już były rozpoczęte i huczna muzyka przygrywała właśnie do ostatniej figury kadryla. Pani Kalińska zrzuciła futro, pogładziła włosy, poprawiła tren sukni i spojrzała z pewnem zadowoleniem w wielkie lustro odbijające wspaniałą jej postać, lecz nagle zawołała przestraszona: Spojrzno Heluniu, jakie nieszczęście!

Kilka pysznych kamelij, które miała przy staniku, zmięte zarzutką balową opadły, zostawiając tylko zielone łodygi. — Cóż teraz zrobię?

— Trudno ciociu, będziesz musiała odpiąć pozostałe łodygi.

— Ależ potrzeba je zastąpić czemś koniecznie, tak wejść na salę nie mogę — odrzekła żałośnie.

— Nie wiem, jak ci radzić ciotuniu!

Pani Kalińska oglądała się bezradna, gdy wtem dobra wróżka zjawiła się niespodzianie w osobie usłużnej garderobianej, która przyrzekła — złemu zaradzić niebawem. Po chwili też przyniosła zakłopotanej pani pełen koszyczek najpiękniejszych kamelij do wyboru, ofiarując się ułożyć z nich odpowiedni bukiet do stanika.

Helena tymczasem przyglądała się z zajęciem wspaniałemu urządzeniu przedpokojów strojnych w girlandy z kwiatów i tonących w jasnem świetle elektrycznem. Zapach roślin egzotycznych zmięszany z delikatnemi perfumami ulatniającemi się z kosztownych futer i okryć, unosił się w powietrzu. Nie wiele osób znajdowało się w tej chwili tamże. Kilka młodziutkich panienek szczebiotało i śmiało się w jednym końcu, w innym znów młode jakieś małżeństwo obserwowało starannie swe tualety przed wystąpieniem na widok publiczny, dalej jeszcze służąca pochylona u stóp pięknej, wytwornej pani przyczepiała dużemi ściegami oderwany w tańcu wolant, wreszcie w pobliżu Heleny młody mężczyzna oparty w podwojach wiodących do sali balowej, przyglądał się bacznie tancerkom przesuwającym się przed jego oczami. Wzrok Heleny zatrzymał się na nim. Był to Jerzy.

Kadryl zakończył się teraz i grono tancerzy rozproszyło się na wszystkie strony; młody człowiek odwrócił się jakoby zawiedziony w swem oczekiwaniu nie ujrzawszy tej, której szukał, gdy nagle stanęła przed nim niby zjawisko nadziemskie, urocza w powiewnej sukience, zasłaniając i odchylając na przemian twarzyczkę pełną wdzięku wachlarzem z piór białych.

Promień szczęścia rozjaśnił na chwilę poważne rysy Jerzego, lecz trwało to tylko mgnienie oka, natychmiast oprzytomniawszy skłonił się grzecznie i zabierał do odejścia, gdy w tem Helena spostrzegłszy kwiatek, który miał jeszcze w ręku, zatrzymała go mówiąc z wzruszeniem: „Oh jaka śliczna gałązka heliotropu!“

— Zwiędła już niestety — rzucił niedbale, przyglądając się niemniej chwilkę kwiatowi.

— Tak pan sądzisz... zdaje mi się jednakże, że prześliczny jest mimo tego. Jestto niezwykły okaz heliotropu, zupełnie oryginalny! Oh gdybym miała piękny ten kwiateczek, zasuszyłabym go i zachowała jako najdroższą pamiątkę.

Młody człowiek rzucił na mówiącą zdziwione spojrzenie. Zdawała się być zupełnie inną tego wieczoru i zwykłą jej wesołość trzpiotowatą nawet czasami, zastępowało dziś rzewne jakieś uczucie przebijające się w głosie: „Nie przypuszczałem wcale, że posiadam skarb tak wielki“, odrzekł z uśmiechem zdobiącym niezwykle zimny zazwyczaj i poważny wyraz jego twarzy. „Nie jestem też bynajmniej jeszcze przekonany o tem; skoro jednakże heliotrop ten zdaje się pani być tak ładnym, racz go przyjąć — ofiaruję go z całą przyjemnością nie umiejąc, jak pani widzi, ocenić kwiatu tego podług wartości, którą posiada“.

Helena wzięła skwapliwie gałązkę przypatrując jej się również uważnie. Tymczasem w sali balowej, gdzie muzyka była ucichła, gwar głosów, szelest wachlarzów, brzęk kieliszków szampana, tworzyły szum stłumiony, milknący i wzmagający się na przemian. „Dziękuję panu“, rzekła potem słodko. „Tak, przechowam ten kwiatek jako droga pamiątkę! Jest mi bardzo miły i kocham go, bo dał on mi poznać dzisiajszego wieczoru“...

Mówiła zwolna, przyciszonym głosem, jakby sama do siebie; lecz nagle zadrżała niby budząc się ze snu i słowa zamarły na jej ustach. Uśmiechając się przecież, rzuciła na młodzieńca spojrzenie przestraszone, wyrażając nadzieję, a zarazem obawę, aby być zrozumianą,



W wesołem gronie.

Trwało to tylko chwilkę jedną, niby zjawisko niepochwytne, które zostawia wszakże niezatarte ślady w duszy i Jerzy czytał w jej pięknych oczach uwielbienie, zaufanie bez granic i miłość głęboką..,

Cofnął się, opierając o filar marmurowy, czuł bowiem, że zbytek szczęścia przygniata go swoim ciężarem... a ona stała przed nim zapłoniona i drząca wzruszeniem, zasłaniając raz po raz uroczą twarzyczkę wachlarzem.

— Czy to prawda pani?... pytał on przyciszonym głosem, pragnąc jeszcze potwierdzenia słów, które niewymownem szczęściem przepełniały mu serce.

Młoda dziewczyna uśmiechając się, wskazywała wzrokiem na osoby znajdujące się w pobliżu i rzekła teraz całkiem swobodnie:

— Już od tak dawna nie odwiedziłeś pan cioci; wielka szkoda, bo zaczyna się gniewać na seryo... Wszakże pan przyjdzie niedługo?

Jakkolwiek odpowiedź nie zdawała się mieć najmniejszego związku z zapytaniem, nie mniej Jerzy okazał się zadowolonym zupełnie i oświadczył skwapliwie, iż nie omieszka przybyć jutro, by złożyć uszanowanie pani Kalińskiej.

A na sali balowej muzyka grała porywającego walca.

Pani Kalińska miała nakoniec przypiętą zręcznie wiązkę kamelij: „Uważam, że są nawet wiele piękniejsze niż tamte“, rzekła zadowolona, zwracając się do swej siostrzenicy. Gdy jednakże nie odbierała odpowiedzi, odwróciła się od lustra i ujrzała zdumiona Helenę w towarzystwie młodego człowieka. Natychmiast poznała Jerzego, nie mniej zdziwienie jej wzrastało coraz więcej, widząc ich, zwykle tak zimnych i obojętnych, rozmawiających dzisiaj z dziwnem ożywieniem. Więc uśmiech szczerego zadowolenia zjawił się na jej licach i przyglądała się z nietajoną radością Helenie, wysmukłej i wdzięcznej, obok dystyngowanej postaci Jerzego, pełnej męzkiej siły. Dawniejsze widoki i projekty stanęły znów żywo w umyśle dobrej cioci i oblicze jej wypogadzało się coraz bardziej. „Mój Boże, jakże mogliby być szczęśliwi“! rzekła, jak gdyby sama do siebie.

„O tak, droga ciociu, będziemy szczęśliwi bardzo,“ szepnęła tuż obok niej Helunia z czułością, a potem przyciskając do ust gałązkę heliotropu, dar biednej żebraczki, dodała: „Tak on ma to serce idealne, o którem marzyłam zawsze i zdaje mi się, że każden z tych drobnych kwiateczków wróży mi szczęście w przyszłości“.

Dział kobiecy.

Strój balowy w roku bieżącym.

Przygotowania do sezonu zimowego są już niemal zupełnie ukończone. Każda dama, która przed nadejściem zimy, przedsięwzięła sobie nabycie płaszcza futrzanego, paltota, lub żakietu, znajduje się już obecnie w posiadaniu tych drogocennych rzeczy.

Wobec tego, że „konieczności" sezonu zimowego są już ukończone, umysły, zajęte zagadnieniami tualetowemi, zwracają się teraz do spraw karnawałowych. Karnawał jest wprawdzie bardzo kosztowny, ale ma przynajmniej to do siebie, że zawsze przychodzi punktualnie w pewnym, ściśle zgóry oznaczonym czasie i że przygotowania, uczynione ku jego przyjęciu, nie są nigdy daremne. W pewnym, oznaczonym z góry dniu w salonach rozbłyskują światła rzęsiste, a całe miasto dźwięczy melodyą taneczną bez względu na to, czy zima jest sroga, czy łagodna. W pracowniach sukien damskich wre robota, tysiące rąk mozolą się, aby z tiulu, koronek i bort stworzyć urocze cuda pomysłowości krawieckiej.

Wyobraźnia artystów w dziedzinie krawieczczyzny wymyśliła w poprzednim roku znakomity strój, mianowicie suknię à la princesse", która sobie szturmem zdobyła cały świat kobiecy. Ten typ sukni zapanował wszechwładnie nad całą damską tualetą. Wszelkie stroje damskie, tak spacerowe jak wizytowe i balowe, były na wzór tego typu robione. Suknie „à la princesse" mają też istotnie wielkie zalety, a przedewszystkiem odznaczają się tem, że nadają postaci wytworną smukłość. Twórcy mody tedy, licząc się z niemożnością zastąpienia sukni „à la princesse", jeszcze modniejszym wytworem krawieczczyzny i widząc, że przeszłoroczna moda zbyt głęboko zakorzeniła się w upodobaniach ogółu niewieściego, nie myślą nawet jej zwalczać i dążyć do zupełnego jej skasowania, lecz usiłują łagodnie i powoli ją przekształcić i przyozdobić nowemi pomysłami. W tym roku więc suknie „à la princesse" będą ozdobione pasami, dzięki którym nabiorą wyglądu mniej jednostajnego. Pasy będą przystrajane w bardzo wybredny, a nawet wyszukany sposób drogiemi kamieniami, ametystami, koralami, umieszczonemi na sprzączce, która ma w swoim rodzaju być cackiem artystycznem.

Wytwórcy sukien balowych uwzględnią tego roku w szerokiej mierze zamiłowanie świata niewieściego do drogich futer. Na sali balowej staną się regułą suknie balowe, zdobne po brzegach obfitem futrem, zwłaszcza takiem, które barwą swą w miły dla oka sposób dostrajać się będzie przez podobieństwo lub kontrast do barwy sukni. Najpowszechniej używanem futrem będzie skunka, odbijająca bardzo efektownie ciemną swą barwą od tła białej sukni balowej.

Prócz obszycia futrzanego tegoroczna moda zapowiada pewną niezwykłą nowość. Oto suknie balowe w zbliżającym się karnawale będą gęsto obsiane ciemnemi kamieniami rozmaitego kształtu, t. zw. jettes'ami. Będą one naszywane na całym przodzie sukni.

Co do materyi sukien balowych przepisy mody są niezmienne. Jedyną materyą, nadającą się do balowego stroju, jest wciąż jeszcze jedwab. W poszczególnych sezonach zachodzą tylko o tyle pewne zmiany, że moda znajduje upodobanie w coraz to innych gatunkach jedwabiu. Obecnie są na porządku dziennym: *charmeux, liberty* i *cachmir de soie,* które to gatunki są niezmiernie wiotkie i delikatne i nadają się doskonale do powiewnych sukien balowych. Za to jedwab malowany jest na ten rok wyklęty z sali balowej, choć w poprzednich latach był bardzo ceniony. Ostatnia moda wydała nań wyrok potępiający, ogłosiła go materyałem niegustownym i pospolitym. Za to zarzutki z tiulu będą tak samo jak poprzedniej zimy powszechnie używane, zwłaszcza z tego względu, że nadają się doskonale do przyozdobienia jettes'ami.

Niektóre szczegóły sukni balowej ulegną znacznej zmianie. Krótszym znacznie będzie tren sukni, krótsze będą też rękawy, z powodu czego znowu wejdą w użycie długie wykwintne rękawiczki. Co do *decollete* — to pod tym względem będzie i nadal tylko smak indywidualny rozstrzygał, pozatem jednak zdaje się, iż przewagę mieć będzie forma czworograniasta *decollete.*

Ostatnia moda stawia wysokie wymagania pod względem doboru barw. Sympatya świata eleganckiego dla niezwykłych wyjątkowych odcieni barwnych utrzymuje się nadal w całej sile, co więcej, można nawet twierdzić, że się znacznie wzmogła. Lila, morska zieleń, *coraille i mauve* — oto barwy dla sukien balowych najodpowiedniejsze. Naturalnie, tyczy się to jedynie mężatek. Dla panien najstosowniejszą jest dyskretna, skromna biel; takie jest prawidło mody, które czyni jednak lekką koncesyę, pozwalając na tualetę, utrzymaną w łagodnych barwach pastelowych.

Płaszcze, tak jak roku poprzedniego, szerokie i luźne, będą miały obfite obszycia futrzane; nadto moda wymaga, aby podszewka płaszcza stosownie do panujących obecnie upodobań — miała barwę jaskrawą.

Czy się żenić, czy — odmienić?...

(Humoreska).

Nie uwierzycie mi stokrotnie Państwo, co za okropna myśl przyszła mi wczoraj do głowy. Postanowiłem się ożenić! Tak! — Stanowczo się ożenić muszę!... Oznajmiam to Państwu i przyrzekam najuroczyściej, iż tej, którą obecnie mam na języku, nie opuszczę i ją sobie za małżonkę pojąć postanawiam. Zbyt bowiem na seryo pojmuję to życie, abym je miał trwonić na miłostki, którebym musiał potem odrzucać, jak te spalone zapałki — i zbyt szanuję miłość, abym z nią „mufował" i obnosił się po różnych sercach, jak po zajezdnych domach i prosił się o przytulisko dla niej. Żenię się więc, stanowczo się żenię!!

Samemu źle, bardzo źle na świecie!... Najzdrowszego nawet choroba się uczepić może w takiej samotności. — — Jakby tak dalej poszło rozchorowałbym się na amen i musiałbym dla poratowania nerwów i zdrowego rozumu wyjeżdżać może na biegun południowy, tam, gdzie pieprz wyrasta, do Afryki czy Australii, czy jak się tam wreszcie nazywa. Nigdy nie chorowałem na nerwy — powiadam Państwu — przenigdy, boć to są tylko babskie wymysły i historye! A teraz jednak — jak bogatego kocham — czuję. że się rozsycham jako ta próżna beczka kapuściana i puszczam we wszystkich śrubkach jak stara rozklekotana szewska maszyna.

Z nudów i wściekłości to piszę... Człowiek przywykł do pióra, od maleńkości, to też ani rusz się oderwać! Może mi się choć odrobinkę ulży! Siedzę sam jeden, samiuteńki jak ten zapomniany gwóźdź w ścianie. Owinąłem głowę chustką, do uszu napchałem waty, dla odpędzenia różnych myśli cisnących się gwałtem jak gzy bydlęce do głowy — kurzę hawańskie cygaro, co to jeno dwa za 5 fenygów — i myślę, bo mi jakoś nic a nic to pisanie nie idzie. Człowiek ta nigdy literatą nie był i tylko ludzkie koncepty przepisywał, lub w książce kupieckiej na kredyt wzięte towary notował.

Ale coś więcej muszę przecie napisać, bo czuję, że się urwę nareszcie,

jak te stare szelki, a jak przyjdą mrozy i ścisk na dworze, z gustem sobie to przeczytam. Masz tobie! — Lampa mi gaśnie, ciemno się robi, a nie ma kogo posłać po naftę!... Powiadam Państwu: raz się już ożenić muszę, bo to jakoś nie tęgo iść samemu do kupca po oświatę! — Więc powiadam Państwu — żenię się i kwita! — Niech sobie później żona o tem wszystkiem pamięta. Będzie przytem i koryto lepsze, będą wykłuwaczki do zębów — słowem wikt jak się patrzy, a nawet ciepłe ognisko domowe.

Opierunek? — Ten również będzie! I tu mi się ulży. — Żenię się więc, jak postanowiłem.

Napiknięta moja nazywa się po chrzestnych rodzicach Kunegunda, z domu Biedronka. Jest to chodząca piękność!... Powiadam Państwu moja Kunda to anioł, ba! nawet więcej niż to!

Przysadzista, na gębie jak dynia, nos jak kiszony ogórek, ręka nikiej u siłacza. Wychuchana, a wydelikacona jak pączek w smalcu, a wymalowana ci na twarzy jak róża jerychońska, której wonią żyją motyle. Złote ma serce, a nawet złote jej przednie trzy zęby, przez co też większą ma wartość. W razie — broń Chryste — jakiego niedostatku lub kłótni można łatwo złoto ze szczęki wyjąć i poratować się od biedy.

Kundzia Biedronkówna do roboty nie chodzi. Po co ma pracować, kiedy jej jeszcze ojciec nie umarł i w każdą sobotę przyniesie pieniądze, jak się patrzy tak, że wystarczy i na wyżywienie i na gumę dla Kundzi i na puder i na różne inne delikatności. — Każda też sobota to istny raj dla Kundzi. Ma matkę, która wszystko wyszoruje, wyczyści, posprząta, pozamiata, nawet jeść ugotuje i pod gębę postawi. — Pocóż więc jej się trudzić? Za to gdy wieczór nadejdzie wie ona dobrze, że tam na ulicy pod latarnią czeka na nią Józek Zawalidroga.

Co mię najbardziej zaciekawiało to to, — dla czego głowa panny Biedronkówny podobna jest do grzyba? Aż raz udało mi się dowiedzieć. Osioł stojący na drodze sięgnął swą nawpół oślą szczęką po liście rzepy znajdujące się na kapeluszu panny Kundzi, a uczynił to tak niezgrabnie, że ściągnął kapelusz i rozplątał złote jej włosy, — z których — o zgrozo! wypadło sześć par starych pończoch i kołtun po zmarłym Chińczyku...

Stałem zdala nie postrzeżony, myślę sobie: Ratować, czy nie ratować? Nie poszedłem jednak, — bo myślę sobie, tak: pończochy podniósłbym, ale tego szczura chińskiego nie wziąłbym za nic do ręki!!

To mię właśnie teraz zbija z tropu i nie wiem, czy się żenić z Kundzią Biedronkówną, czy się nie żenić? Bo wierzcie mi Państwo. Na widok chińskiego kołtuna ckliwo się w gardle robi człowiekowi, a jeszcze gdyby... oh brrr! gdyby taki kołtun z głowy panny Kundy wpadł do rosołu?........ Nie pomogłyby i jej złote trzy zęby! — Przytem dowiedziałem się, że Kundzia na jedną nogę utyka, że smak u niej nie na języku, ale w kolanach, że węch nie w nosie, ale... w końcach palców, że podobno lepiej widzi uszami, i nawet czyta z książki przystawionej do ucha.

Nie wchodzę ja w takie filozoficzno-patologiczne teorye i nie wierzę w objawy różnych projekcyj psycho-motorycznego centrum mózgowego panny Kundy, ale w chiński kołtun wierzę, bo go na własne oczy widziałem.

Nie wiem co teraz czynić? Samemu źle, z Kundzią może być jeszcze gorzej... Co tu robić? Czy się żenić, — czy odmienić?

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 16-go stycznia 1133 najazd Czechów na Śląsk. — 1649 Jan Kazimierz wyjeżdża do Krakowa na koronacyą. — 1698 August I. przybywa do Krakowa. — 1733 August II. ostatni raz wyjeżdża z Drezna do Polski.

Dnia 17-go stycznia 1649 koronacya Jana Kazimierza. — 1664 wojska polskie wkraczają w granice Moskwy. — 1732 urodzenie Stanisława Poniatowskiego. — 1734 koronacya Augusta III.

Dnia 18-go stycznia 1509 zawarty pokój w Moskwie. — 1576 stronnicy Maksymiliana zapraszają go na tron.

Dnia 9-go stycznia 1608 śmierć Bernarda Maciejowskiego, kardynała. — 1789 zwinięcie rady nieustającej. — 1831 Chłopicki złożony z dyktatury.

Dnia 20-go stycznia 1319 koronacya Władysława Łokietka. — 1507 uroczysty wjazd Zygmunta I. do Krakowa. — 1831 obywatele Litwy i Rusi podają adres do sejmu. — 1831 Radziwiłł naczelnym wodzem.

Dnia 21-go stycznia 1504 ogłoszenie statutu Aleksandra. — 1556 zjazd dysydentów w Sycyminie, — 1633 hołd kurfirszta Brandenburskiego.

Dnia 22-go stycznia 1525 powstanie w Gdańsku. — 1600 śmierć Jerzego Radziwiłła biskupa krakowskiego. — 1816 pierwszy sejm prawodawczy rzeczypospolitej krakowskiej. — 1863 wybuch powstania styczniowego.

Humor i satyra.

Na swojską nutę.

Minął adwent, minął
Nadeszły zapusty,
Lecz nie chcę cię, Magdo.
Bo niemasz kapusty!

Nie masz ty kapusty,
Kartofli ci braknie,
A takiej dziewuchy
Chłop mądry nie łaknie.

Choćbyś więc mrugała,
Nie żałując ślepi,
Z tego się mrugania
Wesele nie zlepi.

Dudni woda dudni
W cembrowanej studni,
Oj, łatwo o wodę,
O gorzałkę trudniej.

Tańcował kulawy,
Nos rozkrwawił o piec,
Próżno starej babie
Śni się młody chłopiec.

Czylim ja nie ładna,
Czylim ja nie gładka,
Kto się na mnie spojrzy,
Czapką oczy zatka.

Gadali se chłopcy,
Jam ich podsłuchała,
Żeniłbym się z kozą,
Byle posag miała.

Ja też pomyślała,
Choćby był rogaty,
Poszła bym za capa,
Byle był bogaty.

Rada bym ja, rada,
Żebym miała dziada,
Choć o jednem oku,
Byle tego roku.

Oj, jedz i pij — kiedy dają,
Tańcuj wtedy — kiedy grają,
A uważaj — kiedy dzwonią,
A uciekaj — kiedy gonią!

* * *

Z dobrego serca...

Siostra miłosierdzia: „Jakiś chłopak czeka w przedpokoju. — Pan jego jest bardzo niespokojny i przysyła go, ażeby się dowiedział, jak pan przebył noc dzisiejszą?

Ciężko chory pacyent: „Nie mam pojęcia, kto się tak o mnie troszczy, ale niech go Pan Bóg stokrotnie pobłogosławi! Niech się siostra zapyta chłopaka, kto jest jego zacnym panem!

Siostra miłosierdzia (wracając) „Pan Kaczkowski, właściciel zakładu pogrzebowego z przyległej ulicy.“

* * *

Duma rodowa.

— Co mi pan tam plecie o pańskich przodkach szlacheckich, patrz pan na mnie: Mój ojciec miał 10,000 ludzi pod sobą.

— Zapewne był generałem?

— Niekoniecznie.

— To może dyrektorem kolei?

— Także nie!

— A czemże?

— Sterował balonem powietrznym!

* * *

U dentysty.

— Jest pan?

— Jest, ale nie przyjmuje.

— Mój kochany, — powiedz, że mnie okrutnie zęby bolą...

— Właśnie pana dentystego też zęby bolą i dlatego nikogo przyjąć nie może.

* * *

Filozof.

— Kaziu, ty się ciągle kochasz
I do panien aż się pienisz,
Powiedz przeto, przyjacielu
Czemu wreszcie się nie żenisz?
— Bo ja widzisz robię tylko,
Co istotnie jest mi miłem
Romans lubię, — a *dramatu*
Nigdy w życiu nie lubiłem. —

* * *

Także apetyt.

Ciężko choremu wstawiono w szpitalu żołądek z młodego źrebięcia. Po upływie roku poznaje go ten sam lekarz na ulicy i pyta:

— No, jakże tam z Wami Gąsienica?

Gąsienica (drapiąc się za uchem). — Wszystko dobrze proszę łaski pana, ino nie wiem co to się znaczy, że od czasu do czasu mam wielką chęć na wiązkę siana!...

* * *

Nieszczęśliwy.

Mały Jaś budzi się i zaczyna głośno płakać.

— Czego smarkaczu płaczesz, ledwie oczy otwierasz? pyta go ojciec.

— Bo mi się śniło proszę tatusia, że dostałem od mamy dwa ciastka i ledwo jedno z nich zjadłem tatuś mnie obudził.

* * *

Filozof.

— I pan nic na to, panie Zygmuncie, że on pana wyzwał od nicponiów i głupców.

— Proszę pana, ktoby tam uważał na jego gadanie. Przecież wszyscy wiedzą o tem, że on wiecznie kłamie.

Niezawodny środek.

— Cóż Maryanno czy nie ma już dla mnie żadnego ratunku; czy umierać już muszę — zapytuje kobiety wiejskiej bogaty kupiec dogorywający — w swoim pałacu.

— Owszem, niech się jaśnie pan każe przewieść do wsi, z której ja pochodzę, w niej nigdy jeszcze żaden bogacz nie umarł.

* * *

Łabędź, szczupak i rak.

Zgoda — to błogi, to święty dar Boży!
Zgoda i w słabych cudem siły mnoży;
A najsilniejsi, skoro brak im zgody,
Zamiast pożytków — zbiorą tylko szkody.
Rak i łabędź ze szczupakiem
Uradzili walną sprawę:
Wraz się nająć pod dostawę
Wóz prowadzić bitym szlakiem;
Ciężar mały, droga gładka —
Iść powinnoby, jak z płatka....
Cóż, gdy łabędź rwie się w chmury,
W tył się cofa rak przekora:
Szczupak ciągnie do jeziora: —
Ani z miejsca ruszyć fury!

— — — — — — — —

Kto z nich winien, a kto prawy —
Nie rozsądzę ja tej sprawy;
To wiem tylko, bracia moi,
Że wóz, jak stał tak i stoi....

* * *

Logiczny.

— Co należy uczynić, — zapytuje nauczyciel chłopca w szkole, ażeby uzyskać odpuszczenie grzechów?

— Zgrzeszyć, panie profesorze.

* * *

Maleńka różnica.

— Jesteś zupełnie innym mężem, jak mój poprzedni, — woła zagniewana młoda żona do swojego drugiego małżonka, niechcącego jej kupić drogiego kapelusza.

— Naturalnie — odpowiada jej najspokojniej — tamten umarł, a ja żyję.

* * *

Z powołaniem się minął.

Pewien magnat był właścicielem wspaniałej biblioteki, i nadzór nad nią powierzył niezmiernie ograniczonemu człowiekowi, który w życiu swojem żadnej książki nie przeczytał.

— Dlaczego, mój drogi, nie zrobisz go raczej swoim kasyerem, — odezwał się do niego ktoś, kto miał sposobność z nim rozmawiać?

— Jakto kasyerem?

— Bo on nie dotyka przedmiotów, powierzonych jego pieczy.

ZAGADKA.

Ułożył czytelnik naszego pisma p. A. K z prowincyi.

Figiel.

Oficer bez tego nie jest, mości panie,
Smakosz zmienia literę, zjada na śniadanie

II. SZARADA.

Wprost ryba, wspak rzeka z najdłuższych na świecie,
Jakie — nie powiem, lecz łatwo zgadniecie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższych zagadek.

Rozwiązanie zagadek zamieszczonych w nr. 52-gim.

I. REBUSA.

Jak cię widzą tak cię piszą.

II. ZADANIA KONIKOWEGO.

Nazwałeś się Barankiem, więc musiałeś Panie —

Rodzić się wśród pasterzy w stajence na sianie.

(Baranek Adama Mickiewicza.)

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia **30-go grudnia r. z:**

P. p. Rozalia Pałczyńska i Edmund Ruciński z Poznania, Tomasz Gołkowski z Wielichowa, Jan Wachowski z Niechanowa, Bolesław Peche z Siernik pod Rogoźnem, Teodor Janiak z Komorza (powiat jarociński) i Jadwiga Badura z Roździenia na Górnym Śląsku.

Nagrodę otrzymali pp. Edmund Ruciński z Poznania, Bolesław Peche ze Siernik i Teodor Janiak z Komorza.

2)

Zaręczyny panny Feli.

Napisała **E... B...**

(Ciąg dalszy).

Pani Mioska z jednego zdumienia wpadała w drugie; pierwszy raz w życiu widziała w podobnem usposobieniu syna, oczyma dawała mu rozmaite znaki, wzdychała, wreszcie przerwała:

— Ależ moje dziecko, cóż to za zapytania?... mówmy o czem innem.

— O nie droga mamo, kultura przedewszystkiem, kultura to rzecz ważna, ja chcę wiedzieć, co pani przez to rozumie.

— Tyle razy panu mówiłam — odparła zdecydowanym tonem panna — kulturą nazywam pozbycie się wszelkich przesądów, i nazwanie rzeczy po imieniu.

— To może być cokolwiek ambarasujące — wtrąciła z lekkim uśmiechem pani Mioska.

—Dlaczego?... Prawda jest... jest... jest... — zająknęła się Fela, szukając słowa określającego jasno myśl jej — prawda jest...

—Nagą — podpowiedział konkurent.

Pani Mioska skoczyła na kanapie.

— Cóż znowu Henrysiu!

Henryś wyprostował się.

— Czego mama się boi?

—Twoich wybryków moje dziecko.

— O już to pan Henryk nie sznuruje ust — z zadowoleniem odparła Fela.

— Aaa... — Z ust matki wyrwał się wykrzyknik zdziwienia.

Przyszła synowa zaczęła ją przerażać. Dotąd nie spotykała się z okazami takich panienek postępowych, była to odmiana nie znana jej wcale, patrzyła ciekawie i trwożliwie, a ponieważ uroczysta powaga i głębokie poczucie swej wartości nie odstępowało jej nigdy, więc słuchała z należytą solennością.

W tem na rozścież otworzyły się drzwi popchnięte ręką panny służącej, która się cofnęła, by zrobić miejsce swej pompatycznej pani.

Pani Głocka wtoczyła się do salonu. Gdy matka weszła, Fela rzuciła okiem na jej tualetę, i oblała się cała rumieńcem wstydu. Miała wprawdzie pani Głocka czarną bareżową suknię, lecz dodała do niej odwieczną, białą jedwabną mantylę, ugarnirowaną blondynami i spiętą na łonie mocno wysznurowanem, ogromną koralową broszą.

Szła nadęta, uśmiechnięta i kontenta. Wspaniałym gestem wyciągnęła rękę do pani Mioskiej i rzekła:

— Z prawdziwą rozkoszą witam panią i jej syna, jako bardzo pożądanych gości. — Mówiąc, kurczyła usta tak, że głos przeciskał się przez malusieńki, okrąglutki otworek i z dość ostrego dyszkantu zmieniał się w jakieś piszczące syczenie bardzo ładne, eleganckie, bardzo mile ucho pieszczące, niby skrzeczenie żabek wiosennych.

Usłyszawszy powitanie matki, Fela o mało nie padła; konkurentowi tak wręcz mówić, że jest pożądanym gościem, co za brak taktu!...

— Szczęśliwą się czuję z poznania pani ciągnęła dalej pani domu, sadowiąc się obok gościa na kanapie. Pani Mioska komplementem odpowiedziała na komplement, i zaczęła się interesująca rozmowa o deszczach i pogodzie.

— Pani jest zawołaną ogrodniczką — mówiła mi panna Fela — wyrzekła słodkim głosem pani Mioska.

— Jakto pani, ja? o nie, ja mam ogrodnika, któremu płacę sześćset marek, stół i mieszkanie, a przytem trzech ogrodniczków, i ciągle się donajmuje — odparła oburzona gospodyni.

— Ale pani jest amatorką, chciałam powiedzieć.

— Tak, tak, ma się rozumieć, sama niczem się nie zajmuję, każę i tak być musi.

— Nie zawsze — zaprzeczył p. Henryk.

— Co pan mówi?

— Tak jest, pamiętam, jak pani kazała, aby deszcz padał i nie padał.

— Nigdy tego nie było — ze zgrozą odparła pani Głocka. — Pamiętam tę sprawę, lecz może i pan sobie przypomni, że kazałam ogrodnikowi deszcz puścić i był deszcz.

— To tu ogrodnik deszcz spuszcza?

— Tak, nie inaczej, sztuczny deszcz.

— Nieoceniony ogrodnik!

Pani Mioska załamała ręce.

— Tego zanadto Henryczku, jęknęła.

Fela zanosiła się ze śmiechu, aby okazać się wyższą nad przesądy, co każą pannom oczów nie podnosić, i rumienić się byle czego. Pani Głocka prawiła dalej, zwracając się do swej sąsiadki:

— My tu w każdej chwili robimy deszcz, kiedy chcemy, przez sikawki. To też ogród bardzo dobrze prosperuje.

— U pani wszystko prosperuje. — podjęła pani Mioska, chcąc odwrócić rozmowę — pani tak się zna na wszystkiem, a i córka pewnie nie lada gosposia.

— O, córkę moją starałam się wychować podług wszelkich zasad — dumnie wycedziła matka — starałam się, aby nabrała jak najwięcej wiedzy w każdym kierunku, aby wszystkie okoliczności życiowe były jej wiadome, a przytem chciałam, aby i praktyka nie była jej obcą.

— Praktyka — mruknął Henryk, lecz skarcony surowem spojrzeniem matki, zamilkł.

Pani Głocka mówiła dalej:

— Tak pani, teraz jest czas taki, że każda panna powinna być praktyczną i umieć wszystko; otóż w tym celu miałam do niej zawsze nauczycieli, bo znajduję, że każdy mężczyzna lepiej młodej panience otworzy horyzont wiedzy, jak kobieta. Co zaś do manier, to kształciłam ją sama, a dla nauki konserwacyi, kazałam jej czytać romanse francuskie, bo to daje ogromną wprawę towarzyską, i pochlebiam sobie, że mi się udało — i pani Głocka zachwaliwszy tak zalety swego towaru, odsapnęła o tyle, o ile jej gorset i pozycya towarzyska pozwalały, obie rzeczy wcale nowe dla niej.

Pani Mioska słuchała, nie pojmując, na jakim planecie się znajduje. Kanapa, na której siedziała zmieniła się w ołtarz ofiarny, na którym ona jako zrozpaczone bóztwo dystynkcyi konała.

— O której państwo obiad jadają? — wpadł z zapytaniem pan Henryk, który z Felą w drugim końcu pokoju rozmawiał.

— O piątej — z naciskiem odparła pani.

— Cóż to za zmiana, dotąd było o pierwszej.

— Ah, bo o pierwszej to już takie fi.

— A ja znajduję, że nie fi — a dobrze, do piątej czekać na czczy żołądek nie ciekawa rzecz — tonem złego humoru mruknął konkurent i ziewnął. — Pani wie, panno Felo, że mnie uczucie trawi, więc jestem głodny okrutnie.

— I ja głodna — odparła panna.

— Jacy szczęśliwi ci, co jeść chcą — westchnęła pani Głocka.

Matka uważała jedzenie za jedną z tych potrzeb natury, z któremi skromność kryć się nam każe, córka przeciwnie z postępu tylko skorzystała, że jadła na popis i zawsze głodną była.

— Moja Felciu, każ że podać przekąskę, niech tam kamerdyner się tem zajmie tylko prędko.

— Jak najprędzej — dodał Henryk, biegnąc za Felą.

— Bo to widzi pani, jak się ma taki dom, trzeba mieć kamerdynera — oświeciła p. Głocka, swego gościa. — Ja mam czterech lokai kompletnych, a prócz tego są pół lokaiki, a nad nimi kamerdyner, co służył po książęcych pokojach.

Dla pani Głockiej „kamerdyner“ było to coś nakształt klejnotu szlacheckiego, dającego rozmaite przywileje, nie dostępne prostym śmiertelnikom, zdawało się jej, że ci tylko mieli prawo zaliczać się do arystokracyi, którzy posiadali kamerdynera; człowieka więc, który był takim żywym patentem, szanowała wielce, a rzeczownik kamerdyner wymawiała z wielkiem namaszczeniem.

Pani Mioska w wielu rzeczach innego była zdania, jak gospodyni domu, lecz przyznać trzeba bogactwo olśniewało ją, bo sama była w złych interesach, i pod wpływem złotej aureoli, która ten dom otaczała, gotową była wszystkie śmieszności, a nawet wady przebaczyć.

Tymczasem w pokoju p. Głockiego odbywała się scena groźna dla czułej miłości zakochanych.

Pokój ten niepodobny był do pysznych salonów i innych apartamentów całego domu, odznaczał się on brudem i nieporządkiem. Meble były twarde, stare, połatane; łóżko przykryte prostą, grubą kołdrą, a poduszki brudne. Na kantorku leżały księgi regestrowe bardzo porządne, stał ogromny zawalany kałamarz, tuż obok łóżka kasa ogniotrwała, a nad łóżkiem stary wytarty obraz Matki Bozkiej, pędzla wioskowego artysty.

Pan Głocki w spodniach wysoko podciągniętych na szelkach, w koszuli na przyjazd gości białej i cienkiej i czarnym po uszy wysokim halsztuku chodził wielkiemi krokami po pokoju. Na wąziutkiej kanapeczce, siedział Moszko arendarz i powiernik pana.

Przez czterdzieści lat Moszko i p. Głocki razem handlowali, razem dobijali się majątku. Zaczęli od małego. Głocki pan na dziesięciu chłopach, Moszko gałganiarz, na współkę kupili woły i sprzedali z zarobkiem; z interesu w interes, ze spokojnem to jest twardem sumieniem, trzymając się zasady, każdy środek dobry, byle dojść do celu, z wytrwałością i pracą szli naprzód . Żyd wiernie służył, bo w tem był jego własny interes, szlachcic trzymał się żyda, bo pod jego imieniem pozwalał sobie rozmaitych szacherek, aż wreszcie stanęli u celu. Pan Głocki był panem kilku pięknych wsi i córce dawał 300,000 posagu gotówką; a Moszko trzymał w arendzie stawy i młyny swego pana i wspólnika, i handlował wielkiemi partyami zboża. Cyfry zaś kapitałów ani jednego, ani drugiego nikt na pewno nie znał.

Moszko Morgenberg tedy siedział sobie przy stole, na którym rozłożył jakieś brudne, po żydowsku zapisane karteczki.

— Więc powiadasz Moszku, że pan Mioski to nie geszeft? — zapytał, stając pan Głocki; wysłał on swego powiernika, aby się dowiedział o stanie majątku Mioskiego. Wysłany zdawał raport.

— Żadnym sposobem — odparł żyd — p. Mioski wun lubi puścić wszystkiego, co jemu jego ojcy porzucili, wun dobry pan, ale nie do geszetfu, aj waj co on wyrabiał — i Moszko aż cmoknął kilka razy — jakie wun kochańcie miał! aj aj! — i żyd się zachlipnął, kiwając głową ze zgrozą.

— Et głupstwo to pańska rzecz.

— Nu, ale on długi ma za te kochańcie.

— To źle, a dużo?

— Dużo, dużo choć to stać pannie Feli na to, żeby zapłacić raz, a wun ich więcej narobi, bo on i karty lubi. Ej proszę pana jemu i panna Fela baj bardzo, jemu tylko baares Geld, coby jego puścić.

— Słuchajno Moszku — rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu pan — ty masz rozum, ty masz tęgi rozum, ale ty masz żydowski rozum.

— To najlepszy, bo daje pieniądze — przerwał, śmiejąc się Moszko.

— No, no, niby to tak, ale słuchaj. Pan Mioski to pan Mioski, a panna Głocka to panna Głocka, rozumiesz?

— Rozumiem, to niby większy rezon a to mniejszy to — i żyd wykrzywił usta pogardliwie — a jak on wszystko puści,

— Albo to ja malowany, co?

— Albo to my młodzi?

— Ha prawda. To ty mówisz, żę on utracyusz?

— Jeszcze i tęgi!

— Może się ustatkuje, szkoda chłopca, choć do rany przyłóż, i taki to Mioski!...

Żyd skrobał się w głowę.

— Szkoda Geld, szkoda pracy — mruczał.

Głocki chodził, sapiąc i walcząc sam z sobą, musiał tracić grosz ciężko zarobiony lub splendor domu, podsumowywał cyfry i wzdychał.

— Wezmę i przepędzę hołyszów — wrzasnął, aż się okna zatrzęsły — wołać mi tu Felcię, a ty sam bądź gdzie niedaleko.

Za chwilę weszła elegancka Fela, trochę zaniepokojona zawezwaniem. Pan Głocki bez żadnego objaśnienia krzyknął:

— Musisz dać harbuza Mioskiemu!

— Cooo?....

— Musisz dać harbuza temu gagatkowi, słyszysz, po polsku mówię.

— Nie rozumiem, co się ojcu stało, wczoraj ojciec nie był taki przeciwny.

— Wczoraj nie wczoraj, a dziś dasz harbuza i kwita; aż się zakurzy, tak będą zmykać. Co mnie tam splendor, głupstwo! u mnie pieniądz prym, rozumiesz teraz?!

— Ani słowa, a chcę zrozumieć — odparła córka, siadła na krzesełku, założyła nogę na nogę i krzyżując ręce na piersiach, spytała: — Co to wszystko znaczy?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

— Każdego dnia przed 23 kwietnia. Lecz przedtem były to inne maszyny... były to wielkie bryły kamienia... lub mniejsze, podłużne, poowijane w gazety, które nieśli ostrożnie, jakby jakich świętych. Ah! tych nie pozwolili ruszyć... Ależ co panu się stało... pan taki blady?

— Nic... nic... To wina upału.

Beautrelet wyszedł, jak pijany. Oszołomiła go radość i nieprzewidziane odkrycia.

Uspokoiwszy się, wracał przez Varengeville, gdzie nocował. Następnego dnia rano, godzinę przesiedział z nauczycielem w urzędzie burmistrzowskim i wrócił do Ambrumésy. Hrabia de Gesvres oddał mu list przesłany na jego ręce. List zawierał słów kilka:

„Drugie ostrzeżenie. Milcz. W przeciwnym razie....“

— Jak widzę, muszę pomyśleć o zabezpieczeniu własnej osoby. Gdyż w przeciwnym razie... jak mówią...

Koło godziny dziewiątej przechadzał się między ruinami, a stanąwszy przy wielkiej arkadzie przymknął oczy.

— Jakże, młodzieńcze, jesteś zadowolony z wycieczki? Był to pan Filleul, który się stawił w oznaczoną porę.

— Jestem zachwycony panie sędzio.

— To ma znaczyć...

— To ma znaczyć, że gotów jestem dotrzymać przyrzeczenia... mimo tego listu, który nie jest zachęcającym, i pokazał co dopiero odebrany list panu Filleul.

— Ba! To facecye, wykrzyknął pan Filleul, myślę, że nie ulękniesz się i...

— I powiem wszystko, co się dowiedziałem. Nie ulęknę się, panie sędzio. Przyrzekłem i dotrzymam. Za kilka minut dowiemy się... części prawdy.

— Tylko części?

— Tak, gdyż znać miejsce schronienia Arsena Lupin, to nie wszystko, mojem zdaniem. Daleko jeszcze do końca.

— Nic nie wzbudzi we mnie większego podziwu dla pana, panie Beautrelet, lecz w jaki sposób doszedłeś pan do tego?

— Oh! w bardzo prosty. W liście owego pana Harlingtona do Stefana de Vaudreix, czyli do Arsena Lupin, znajduje się zdanie, które mnie zawsze intrygowało: „Do przesyłki obrazów, dołącz pan *resztę*, jeżeli się uda, chociaż wątpię“.

— Tak, przypominam sobie.

— Cóż mogło być owa *reszta*? Czy jakiś przedmiot artystyczny, lub jaka osobliwość? Pałac nie posiadał nic wartościowego, oprócz tych obrazów i gobelin. Biżuteryi mają mało, i mało cennych. Więc cóż być mogło? Nie można bowiem przypuścić, aby człowiek tak przebiegły, jak Lupin nie miał potrafić dołączyć tej *reszty*, o której mówił. Przedsięwzięcie niezawodnie trudne i śmiałe, przyznaję, lecz nie niemożliwe, gdyż Lupin chciał je przeprowadzić.

— Lecz nie udało mu się: nic nie braknie.

— Owszem, udało mu się, gdyż znikły rozmaite przedmioty.

— Tak, cztery obrazy Rubensa...

— Tak, a prócz tego coś więcej, co także zastąpili podrobionemi, jak to uczynili z obrazami. Przedmioty te są o wiele rzadsze, cenniejsze aniżeli obrazy.

— Lecz cóż to takiego? Umieram z ciekawości.

Rozmawiając, skierowali się do furtki. Przechodząc koło kaplicy Beautrelet stanął.

— Chcesz pan wiedzieć, panie sędzio?

— Czy tylko chcę!...

Beautrelet miał w ręce laskę, grubą, sękatą. Niespodziewanie laską tą rozbił jedną z figurek, któremi portyk był ozdobiony.

— Oszalałeś, krzyczał pan Filleul, schylając się na ziemię, oszalałeś! święty ten tak cudownie był rzeźbiony...

— Cudownie, mówisz pan, ryczał Izydor, rozbijając figurkę Matki Boskiej.

Pan Filleul pochwycił go za ramię.

— Młodzieńcze, nie pozwolę ci popełniać...

— Spadł jeszcze jeden z Trzech Królów, następnie żłóbek z Dzieciątkiem Jezus...

— Jeszcze jedno poruszenie, a strzelę.

Hrabia de Gesvres nadbiegł z nabitym rewolwerem.

Beautrelet rozśmiał się.

— Strzelaj, panie hrabio, strzelaj do tych figurek... jak na jarmarku... i znowu jedna spadła, roztrzaskując się w tysiączne kawałki.

— To wszystko blaga, panie hrabio!

— Co mówisz? krzyczał pan Filleul.

— Blaga, powtarzał Beautrelet! To nie są dzieła sztuki... to gips!

— Co?... Czy to możliwe?...

Hrabia schylił się, zbierając odłamki figurek.

— Przypatrz się dobrze, panie hrabio, to gips! gips uczerniony, aby wyglądał, jak kamień stary... Otóż, co zostało z arcydzieł... co zrobili przez dni kilka, a co przysposobił kopista Charpenais przed rokiem.

Pochwycił ramie pana Filleul.

— Co myślisz o tem, panie sędzio? Nie jest to zadziwiająca rzecz, aby okraść kaplicę! Wynieść kamień po kamieniu, cały zastęp figurek i zastąpić je podobnemi! Nie jest-że to godne podziwu. Jaki to genialny człowiek, który coś podobnego zdziałać potrafi!

— Za bardzo podziwiasz, panie Beautrelet.

— Nie można dosyć podziwiać, tego rodzaju człowieka. Wszystko, co przechodzi ponad mierność, warte jest podziwu i pochwały. Ten zaś postępek przewyższa wszystkie. Kradzież ta jest obfita w pomysły, i przeprowadzona z niesłychaną zręcznością!

— Szkoda, że umarł, odrzekł z niezadowoleniem pan Filleul... byłby może ukradł wieżę Notre-Dame.

Beautrelet wzruszył ramionami.

— Nie śmiej się, panie sędzio, bo wiem, że choć umarły, jest on dla ciebie postrachem.

— Nie przeczę... nie przeczę, panie Beautrelet, i przyznaję nawet, że z pewnem wzruszeniem przyglądam się jego dziełu... lecz, czy tylko przyjaciele nie uprowadzili jego ciała.

— Czy tylko był rzeczywiście. Lupin, człowiek, którego moja siostrzenica zraniła, wtrącił hrabia de Gesvres.

— To był on, wierz mi pan, panie hrabio, to był on, który dotarł do tej kryjówki, która stała się jego grobem .

I Beautrelet laską wskazał kaplicę.

— Hę?... Co?... zakrzyknął pan Filleul niedowierzająco. Myślisz, że ta tajemnicza kryjówka...

— Znajduje się tam, oto.

— Przeszukaliśmy kaplicę!

— Źle widocznie.

— Tam nie ma żadnej kryjówki, zaprotestował hrabia, znam dokładnie kaplicę.

— Przeciwnie, panie hrabio. Idź, pan do burmistrza w Varengeville, gdzie znajdują się papiery dotyczące klasztoru Ambrumésy. Wyczytasz pan wzmiankę z ośmnastego stulecia, że pod kaplicą znajduje się krypta.

— Lecz jakże Lupin mógł się dowiedzieć o tym szczególe, zapytał sędzia?

— W bardzo prosty sposób, pracując tutaj, i wywożąc figurki, musiał to zauważyć.

— Przesadzasz, panie Beautrelet, przecież nie ukradł całej kaplicy.

— Zapewne, że fundamentów nie naruszył, lecz wszystko, co posiadało jakąkolwiek wartość i co się wziąć dało, to też zabrali.

— W takim razie Lupin nie mógł dotrzeć do krypty.

W tej chwili wrócił służący, którego hrabia był posłał po klucz. Otworzył kaplicę. Trzej mężczyźni weszli.

Po pewnym czasie, Beautrelet odezwał się.

— Flisy, jak przypuszczałem, nie są naruszone. Lecz zwykle schody do krypt znajdują się pod wielkim ołtarzem. Jeżeli więc pracowali przy ołtarzu, natenczas musieli znaleźć ową kryptę.

Za pomocą siekiery, po którą posłano, Beautrelet natarł na ołtarz. Kawały gipsu odpryskiwały. Naraz natrafił na jakiś twardy przedmiot, od którego siekiera odskoczyła. Jeszcze kilka uderzeń, a cała ściana zapadła się w głąb. Beautrelet zajrzał do otworu zapalając zapałkę.

— Schody rozpoczynają się bliżej brzegu, pod flisami, zaraz przy wejściu. Widzę tylko ostatnie stopnie.

— Jest głęboko?

— Trzy do czterech metrów... Stopnie są bardzo wysokie i braknie kilku...

— To nie możliwe, rzekł, pan Filleul, aby w tym krótkim czasie, w którym uprowadzili pannę de Saint-Véran, zabrali także ciało z tej piwnicy, za długoby to trwało. Mojem więc zdaniem Lupin znajduje się jeszcze tutaj.

Przyniesiono drabkę, którą Beautrelet wsunął w otwór i zapytał:

— Zejdziesz, panie sędzio?

Sędzia zaopatrzony w świeczkę odważył się pierwszy, hrabia szedł za nim. Ostatnim był Beautrelet.

Machinalnie naliczył ośmnaście stopni. Oczami badał kryptę oświetloną słabym płomykiem świecy. Naraz z dołu doszedł go odór zgnilizny, rozkładającego się ciała. Wskutek tego odoru, dostał zawrotu głowy.

Wreszcie jakaś drżąca ręka spoczęła na jego ramieniu.

— Co to? Co się stało?

— Beautrelet, szepnął pan Filleul,... Beautrelet...

Lecz Beautrelet nie mógł rzec słowa, przejęty grozą.

— Beautrelet... jest on tam?...

— Tak, jest coś pod kamieniem, który spadł z ołtarza. Odrzuciłem kamień... widziałem... Oh! nie zapomnę póki życia...

— Gdzież on jest?

— Z tej strony... nie czujesz pan zgnilizny... patrzcie...

Wziął świecę i skierował blask wprost na jakiś kształt rozciągniony na ziemi.

— Oh! zakrzyknął Beautrelet głosem pełnym grozy.

Wszyscy troje schylili się. Na ziemi rozciągniony leżał trup człowieka, zbiedzony i wpółnagi. Ubiór podarty na strzępy, z pod którego wyzierało zielonawe ciało. Lecz najokropniej wyglądała głowa, na której to widok, Beautrelet wydał okrzyk pełen grozy. Płyta kamienna, spadając, rozbiła ją, zostawiając nieforemną masę, z której żadnego rysu rozpoznać nie było można. Gdy oczy ich przywykły do panującej naokoło ciemności, zauważyli, że całe ciało ruszało się, toczone przez robaki...

W kilku skokach Beautrelet znalazł się u góry, na świeżem powietrzu.

Pan Filleul zastał go leżącego na brzuchu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Rzekł mu:

— Winszuję, Beautrelet, winszuję.

Oprócz poznania schronienia, sprawdziłem jeszcze dwa punkty, które wskazują na trafność pańskich przypuszczeń. Najpierw, że panna de Saint-Véran rzeczywiście zraniła Arsena Lupin, następnie, że ów Lupin krył się pod przybranem nazwiskiem Etienne de Vaudreix, gdyż bielizna znaczoną jest E. V. Zdaje mi się, nieprawdaż, że dowód ten jest wystarczającym...

Izydor nie ruszył się.

— Pan de Gesvres kazał sprowadzić lekarza Jonet, dla dokonania zwykłej rewizyi. Mojem zdaniem śmierć nastąpiła przed tygodniem. Stan bowiem rozkładu... Zdajesz się pan nie słyszeć co mówię?

— Ależ, owszem, owszem.

— To, co dowodzę, oparte jest na gruntownem zbadaniu rzeczy. Tak więc, naprzykład...

Pan Filleul ciągnął dalej swoje wywody, nie zaciekawiwszy słuchacza. Dopiero nadejście hrabiego przerwało jego monolog.

Pan de Gesvres przyniósł dwa listy: Sherlok Holmes zawiadamiał w jednym o swojem przybyciu dnia następnego.

— Doskonale się składa, zawołał wesoło pan Filleul. Inspektor Ganimard również przybędzie. To będzie znakomicie!

— Drugi list jest dla pana, panie sędzio, rzekł hrabia.

— Coraz lepiej, rzekł pan Filleul, po przeczytaniu. Panowie ci, rzeczywiście nie będą mieli wiele do czynienia. Panie Beautrelet, donoszą mi z Dieppe, że rybacy dzisiaj rano znaleźli ciało młodej kobiety.

Beutrelet podskoczył.

— Co pan mówisz? Ciało...

— Młodej kobiety... lecz dodaję, że jest tak okropnie zmienione, że nie będzie można rozpoznać. Zauważyli tylko na prawej ręce złoty łańcuszek. Otóż panna de Saint-Véran nosiła takiż na prawej ręce. Nie ma więc wątpliwości, że to pańską nieszczęśliwą siostrzenicę morze wyrzuciło. Co mówisz na to Beutrelet?

— Nic... nic... A właściwie, że wszystko się doskonale składa, jak pan widzi. Wszystkie fakta, jeden po drugim, sprawdzają moją hipotezę, którą sobie wytworzyłem od pierwszej chwili.

— Nie rozumiem dobrze.

— Zrozumiesz pan wkrótce. Przypomnij tylko sobie, że przyrzekłem wyjawić całą prawdę.

— Przecież, zdaje mi się...

— Trochę cierpliwości, panie sędzio. Dotychczas nie miałeś powodu skarżyć się na mnie, nieprawda? Tak ładnie na dworze, przejdź się pan na przechadzkę, zjedz dobre śniadanie i wypal fajeczkę. Ja o czwartej lub piątej będę z powrotem.

Beutrelet wskoczył na rower i pojechał.

W Dieppe zatrzymał się i udał się do redakcyi pisma „La Vigie“, gdzie kazał sobie przedłożyć dzienniki z ostatnich dwóch tygodni. Następnie pojechał do Envermeu oddalonego o kilkanaście kilometrów. W Envermeu rozmawiał z burmistrzem, z proboszczem i ze stróżem. Zegar wybił trzecią, gdy ukończył swoje śledztwo.

Wracając, śpiewał z zadowolenia. Jadąc z nadzwyczajną szybkością zjeżdżał z góry, która poprzedza zamek. Odwieczne dęby zdawały się biedz na jego spotkanie.

Naraz z piersi jego wydarł się okrzyk. Zdawało mu się bowiem, że widzi linę przeciągniętą w poprzek drogi.

Rower zatrzymał się raptownie, wyrzucając go z siedzenia, o kilka metrów naprzód. Przypadek zrządził, że nie upadł na stos kamieni, o które byłby sobie niewątpliwie roztrzaskał głowę.

Przyszedłszy do przytomności, cały potłuczony i zbolały, zabrał się do badania przyczyny upadku.

Odwiązując linę od prawego drzewa, zauważył świstek papieru przypięty szpilką. Rozwinął i czytał:

„Trzecie i ostatnie ostrzeżenie“....

Przyszedłszy do pałacu, zadał służbie kilka pytań, następnie odszukał pana Filleul w jednym z pokojów parterowych, w którym sędzia zwykle siadywał. Pan Filleul pisał; naprzeciw niego siedział sekretarz, który na dany znak przez sędziego wyszedł.

— Cóż się stało, panie Beautrelet, masz pokrwawione ręce?

— To nic... to nic..., odrzekł młody człowiek. Skaleczyłem się, przewróciwszy się przez linę rozciągnioną od drzewa do drzewa. Proszę zauważyć, panie sędzio, że lina ta pochodzi z pałacu. Mniejwięcej przed pół godziną wisiała na niej bielizna.

Jestże to możliwe?

— Panie sędzio, wiem, że jestem szpiegowany przez osobę, która się tutaj znajduje, która mnie podsłuchuje, i zna moje intencye.

— Panu się zdaje!...

— Jestem tego pewien. Pana rzeczą jest zdemaskować tę osobę. Co do mnie, to chciałbym jak najprędzej skończyć. Wyprzedziłem moich przeciwników, wskutek tego więzy zacieśniają się w koło mnie. Grozi mi niebezpieczeństwo... przeczuwam.

— Cóż znowu. Beautrelet, odwagi.

— No, zobczymy. Na razie spieszmy się. Pozwól pan jedno pytanie: nie mówiłeś pan nikomu o dokumencie, który w mojej obecności wręczył panu brygadyer Quévillon?

— Na słowo, nikomu. Czy przypisujesz pan jakiekolwiek znaczenie do tego dokumentu?

— Nawet wielkie. Powziąłem bowiem pewną myśl, i przyznaję, że to myśl tylko, bo dotychczas nie zdołałem tego dokumentu odczytać.

Chwytając pana Filleul za rękę, szepnął:

— Słuchaj pan... Ktoś jest pod oknem. Żwir pod stopami zatrzeszczał. Beautrelet wychylił się:

— Już nie ma nikogo... lecz ścieżka jest podeptaną... łatwo można będzie rozpoznać ślady stóp...

Zamknął okno i usiadł na dawnem miejscu.

— Widzisz, panie sędzio, podjął Beautrelet, że nieprzyjaciel nie stara się zachować zwykłych ostrożności... nie ma widocznie czasu... Widzę, że chcą mi przeszkodzić w wyjawieniu prawdy... spieszmy się więc.

Położył dokument na stół i trzymał rozwinięty.

— Przedewszystkiem trzeba zauważyć, że dokument ten zawiera same kropki i liczby — z wyjątkiem czwartej linijki, która wygląda zupełnie inaczej — zważmy następnie, że najwyższa liczba to 5. Stąd wnosić można, że liczby te przedstawiają pięć samogłosek w porządku alfabetycznym. Dokument ten przedstawiać się więc będzie w następujący sposób:

e . a . a . . e . . e . a . . a . .
a . . . e . e . . e . o i . e . . e .
. o u . . e . o . . . e . . e . o . . e .
a i . u i . . e . . e u . e

Beautrelet ciągnął dalej:

— Jak widzisz, panie sędzio, rozwiązanie tej zagadki łatwe, gdyż zadano sobie pracę oznaczyć samogłoski liczbami, a spółgłoski kropkami; mimo to jest rzeczą trudną, ponieważ dokument w ten sposób napisany nie powie nam wiele więcej.

— Rzeczywiście. przedstawia się dosyć niezrozumiale.

— Starajmy się więc oświetlić go trochę. Druga linia jest przedzielona na dwie części, ta druga część jest tego rodzaju, że musi oznaczać jedno słowo. Jeżeli więc kropki zastąpimy spółgłoskami, nie będzie nam zbyt trudno złożyć słowo „demoiselles“ (panny).

— Miałoby to jaką łączność z panną de Gesvres i panną de Saint-Véran?

— Niewątpliwie.

— Nie odczytałeś pan nic więcej?

— Owszem. Ostatnią linijkę można również odczytać. A mianowicie: jeżeli wezmę ai . ui, kropkę tę mogę tylko zastąpić literą, „g“ wydobędę więc „aigui“. a zważywszy, że następują dwie kropki i „e“ łatwo więc domyślić się słowa „aiguille“ (igła).

— Rzeczywiście inne słowo być nie może.

— Zastanówmy się teraz nad ostatniem słowem; składa się z trzech samogłosek i z trzech spółgłosek. Szukając tychże, mogę złożyć tylko cztery słowa: **fleuve** (rzeka) **preuve** (dowód), **pleure** (płacz), **creuse** (próżny, wydrążony). Pierwsze trzy słowa trzeba odrzucić, gdyż w połączeniu z „aiguille“ nie mają sensu, zostaje więc ostatnie.

— Złożywszy zaś razem mamy „aiguille creuse“ (wydrążona igła). Przyjmuję to rozwiązanie, gdyż inne być nie może. Lecz do czego nas to prowadzi?

— Na razie do niczego, odrzekł Beautrelet zamyślając się. Później może... zobaczymy... mam bowiem myśl... Na razie zastanawia mnie jeszcze papier, na jakim ta zagadka napisana. Czy fabrykują jeszcze dzisiaj rodzaj takiego pergaminu?... a ten kolor słoniowej kości... a złamania te... a w końcu ślady czerwonej pieczęci na odwrotnej stronie...

Wejście sekretarza Brédoux przerwało dalszy ciąg dowodzeń Izydora Beautrelet. Brédoux przyszedł oznajmić przybycie generalnego prokuratora.

Pan Filleul wstał.

— Cóż się stało? Czy pan prokurator jest na dole?

— Nie. panie sędzio. Pan prokurator nie zeszedł z powozu, pragnie tylko pomówić słów kilka.

— To dziwne... szepnął sędzia... no, zobaczymy o co chodzi. Przepraszam cię, Beautrelet, za chwilę wrócę.

Wyszedł. Gdy ucichły kroki na kurytarzu, Brédeux doszedł do drzwi, zamknął je, i klucz schował do kieszeni.

— Ah! cóż to ma znaczyć, wykrzyknął Beautrelet zdziwiony, co robisz? Czemu zamykasz?

— Będziemy mogli spokojniej rozmawiać, odrzekł Brédoux.

Beautrelet skoczył do drugich drzwi, były zamknięte. Sekretarz sędziego był wspólnikiem bandy.

— Nie pokalecz sobie rąk, młodzieńcze, rzekł szyderczo Brédoux, i od tych drzwi klucz znajduje się w mojej kieszeni.

— Pozostaje okno!

— Zapóźno, zawołał Brédoux, stając w oknie z rewolwerem w ręce.

Ucieczka była więc niemożliwą. Nie pozostało mu nic innego, jak bronić się do ostatniego tchnienia. Nie wytłomaczony niepokój ogarnął go, stanął więc, krzyżując ręce na piersiach.

— Dobrze tak, mamrotał Brédoux, załatwimy się prędko.

Wyjął zegarek.

— Nim wróci pan Filleul, nie zastawszy naturalnie nikogo, to potrwa ze cztery minuty. Mnie starczy jedna, aby wyskoczyś oknem i uciec przez furtkę, aby umknąć na rowerze. Pozostają więc trzy minuty. Te starczą.

Dziwna to była figura ten sekretarz Brédoux. Na nogach bardzo długich i cienkich trzymał się korpus gruby i okrągły z nieproporcyonalnie długiemi rękoma. Wyglądał jak pająk. Twarz miał kościstą, czoło nizkie, Beautrelet zachwiał się, musiał usiąść.

— Mów, co chcesz?

— Dokument. Od trzech dni go szukam.

— Nie mam go.

— Kłamiesz. Gdy schodziłem tutaj, widziałem, że chowałeś do portfelu.

— Cóż dalej?

— Następnie przyrzekniesz mi, że będziesz milczał. Zostaw nas w spokoju, zajmij się własnemi sprawami. Zaczynam tracić cierpliwość.

Przybliżył się do Izydora, mając ciągle rewolwer skierowany na niego. Mówił stłumionym głosem, lecz wyraźnie i dobitnie. Wzrok miał twardy, na ustach okrutny uśmiech.

Beautrelet zdrętwiał. Poraz pierwszy uczuł, że mu grozi niebezpieczeństwo, i czuł także, że nieprzyjaciel silniejszy jest od niego.

— Cóż dalej? pytał Beautrelet głosem zdławionym.

— Nic więcej... Będziesz wolny... Zapomnimy o całem zajściu...

Cisza. Wreszcie odezwał się Brédoux.

— Czas już, musisz się zdecydować. No, dalej nie rób głupstw.... Jesteśmy silniejsi zawsze i wszędzie... Prędko daj papier...

Izydor nie ruszył się, skamieniały, przerażony, a mimo to panował nad sobą, żaden nerw bowiem nie drgnął. O kilkanaście centymetrów widział lufę rewolwerową, starczyłoby tylko palec mocniej oprzeć na cynglu...

— Oddaj papier, powtórzył Brédoux... w przeciwnym razie....

Tutaj jest, rzekł Beautrelet wyjmując portfel, który łakomie pochwycił Brédoux.

— Doskonale! Widzę, że jesteś rozsądny. Powiem moim towarzyszom. A teraz zmykam. Adieu.

Schował rewolwer i w mgnieniu oka znalazł się za oknem. W tejże chwili dały się słyszeć kroki w kurytarzu.

— Adieu... rzekł raz jeszcze, czas był na mnie największy.

Lecz jakaś myśl przeszła mu przez mózg, bo naraz stanął i przejrzał portfel.

— Psia... zaryczał, papieru tego niema... Oszukałeś mnie...

Jednym susem znalazł się napowrót w pokoju.

W tejże chwili rozległy się dwa strzały. Izydor dał ognia ze swego rewolweru.

— Chybiłeś... zawył Brédoux, ręka twoja drży... boisz się....

Skoczyli do siebie i rozpoczęła się walka. Izydor słyszał gwałtowne stukanie do drzwi. Po chwili Brédoux powalił go na ziemię i uzyskał nad nim przewagę. To był koniec. Jak przez mgłę widział Izydor uniesioną rękę z nożem. Ręka tą spadła. Uczuł straszliwy ból w ramieniu, puścił więc przeciwnika.

Miał to wrażenie, że przeszukano mu wszystkie kieszenie i zabrano dokument. Następnie przeczuł tylko, że człowiek wyskoczył oknem...

Te same dzienniki, które dnia następnego opisywały ostatnie zajścia w Ambrumesy t. j. odnalezienie krypty i ciała Arsena Lupin, wyrzucenia z morza ciała Rajmundy, jak również napad na Izydora Beautrelet przez sekretarza sędziowskiego Brédoux, te same dzienniki donosiły dwie następujące wiadomości: Zniknięcie Ganimard'a i uprowadzenie Sherlocka Holmesa w biały dzień z Londynu, w chwili, gdy ten ostatni chciał wsiadać do pociągu, idącego do Dowru.

Tak więc banda Arsena Lupin, przez chwilę rozproszona i zdezorganizowana przez młodzieńca ośmnastoletniego, potrafiła się podnieść, i za jednym zamachem obaliła wszystkich nieprzyjaciół. Tak więc Ganimard i Sherlock Holmes usunięci, a Izydor Beautrelet niezdolny do niczego. Nie było nikogo, ktoby walczył z tak potężnym nieprzyjacielem .

Rozdział IV.

Pewnego wieczora (w wigilię 14-go lipca) pozwoliłem wyjść służącemu. Było to w jakie sześć tygodni po zajściach w Ambrumésy. Dzień był nadzwyczaj upalny, nie miałem więc chęci wychodzić z domu. Ponieważ nie czytałem gazet z tego dnia, wziąłem je do przejrzenia.

Pisano naturalnie o Arsenie Lupin. Od czasu zbrodni popełnionej na Izydorze Beautrelet, pojawiały się ciągle artykuły. Ofiarowano nawet jeden łam, aby publiczność stale informować o aferze w Ambrumésy. Nigdy jeszcze publiczność nie była tak zaciekawiona, jak właśnie tą sprawą, w której nie można było przewidzieć, co nieprzyjaciel w danej okoliczności zrobi i jak postąpi. Pan Filleul wyjawiał głośno swoją nieudolność i opowiadał o bohaterskich czynach młodego retoryka, dokonanych przez te trzy pamiętne dni.

Kto tylko żył, zdawał się poczuwać do obowiązku pouczania, i każdy wypowiadał swoje zdanie i domysły o owych zajściach.

A właściwie sprawa ta przedstawiała się zupełnie jasno. Znaleziono bowiem ukrycie, do którego się był schronił Arsen Lupin i w którym skonał. Nie wątpiono o tem na chwilę. Nawet doktór Delattre, który wzbraniał się cośkolwiek powiedzieć, zwierzył się swoim najbliższym — którzy naturalnie wiadomość tę powiedzieli *swoim* najbliższym, że został wprowadzony do jakiejś krypty, że przyjaciele przedstawili rannego, jako Arsena Lupin. W krypcie zaś znaleziono ciało Etienna de Vaudreix, a Etienne de Vaudreix był tyle co Arsen Lupin, jak to śledztwo wykazało.

Tak więc dramat skończony. Lupin umarł. Znalezione zaś ciało kobiece rozpoznano, jako panny de Saint-Véran, dzięki złotemu łańcuszkowi na prawej ręce.

A mimo to wszystko, sprawa zakończona nie była, gdyż wszystkie fakta były wyświetlone, a mimo to wierzono, że Beautrelet wie coś więcej i będzie w możności to wyjawić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród walki z losem.

16) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

(Ciąg dalszy.)

— Ponieważ pan posłał po nią.

Barklay zamilkł, spuścił wzrok ku ziemi i począł w zakłopotaniu skubać długą brodę.

— Masz pan słuszność — odezwał się w końcu — kazałem jej, albo komuś od niej upoważnionemu przyjść tutaj. Może pan jesteś tym, którego w miejscu mrs. Graves przysłano. Zapewne się nie mylę.

— Nie, nie jestem nim.

— Odpowiedz mi pan zatem, kim jesteś — zawołał Barklay gwałtownie. Czy myślisz pan, że mam ochotę rozwięzywać twe zagadki, lub, że pozwolę pozostać ci tutaj i być świadkiem tego, co mam do czynienia?

— Powiedziałem już panu, że nazwisko moje jest Merrick — była zimna i wyzywająca odpowiedź. — Mogę tylko dodać, że jestem adwokatem i że prowadziłem śledztwo po procesie ciotki pańskiej, gdy stawała przed sądem przysięgłych oskarżona o morderstwo. Nie przybyłem tutaj w żadnej sprawie tajemniczej — tajemnice bowiem, nie wchodzą w zakres mych działalności. Współczucie i względ na przyjaciela sprowadziły mię tutaj na to miejsce, które jest własnością mrs. Barklay; co zaś do dalszych rzeczy, na to panu odpowiadać nie będę.

Artur Barklay wysłuchał tych słów cierpliwie, a wydobywszy następnie z kieszeni zapałki, zapalił jedną i zbliżył do twarzy swego przeciwnika, by mu się lepiej przypatrzyć. I Walenty skorzystał ze sposobności, by oblicze swego towarzysza lepiej sobie obejrzeć.

Artur Barklay zmienił się nieco od czasu, gdy go Merrick po raz ostatni widział był w Yorku; ale jeżeli wogóle zaszła w nim zmiana, to była ona niezaprzeczenie na jego korzyść.

— Tak, jesteś pan w rzeczy samej tym, za którego się podajesz — rzekł Barklay — głos pana zdawał mi się od razu być znajomym. Nie jesteś tu pan w charakterze urzędnika — adwokaci nie bywają używani w sprawach policyjnych. Wierzę, że tylko przypadkiem spotkałeś tutaj mrs. Barklay. Tak przynajmniej zdaje się być.

— Li tylko przypadkowym sposobem zszedłem się tutaj z mrs. Barklay.

— Zatem nie z powodu tej starej sprawy znajdujesz się pan tutaj?

— Bynajmniej.

— To dobrze; idźże pan sobie teraz swą drogą i nie narzucaj mi się dłużej na towarzysza — rzekł Barklay z właściwą sobie gburowatością. — Mam aż nadto ze samym sobą do czynienia, bym się miał jeszcze zajmować pańską osobą. Jednej jednakże rzeczy dowiedziałem się — dodał kładąc swą ciężką rękę na ramię Walentego.

— I cóż takiego?

— Że pan nie wierzysz w niewinność mrs. Barklay i że o jej charakterze sądzisz tak samo, jak ja. Wy, adwokaci prawicie mnóstwo rzeczy, w które wam się ani śni wierzyć; wygłaszacie jeremjady o cnotach waszych nieszczęśliwych klijentów, lecz wówczas, gdyś w Yorku występował jako oskarżyciel Heleny Barklay, wierzyłeś wtedy, że ona bez skrupułu otruła swego męża?

— Tak jest, wierzyłem.

— Nie przychodziło ci wtedy na myśl, że to ja byłem owym mordercą? — badał dalej z wzrastającą gwałtownością — czy mój sposób prowadzenia się nie dawał ci podstawy do przypuszczeń, iż do tej zbrodni mogła była i mnie uwieść?

— Nie.

— I pańskie zapytywanie pozostało niezmienionem?

— Tak jest.

— W takim razie powiem panu, co mię tutaj sprowadziło.

— Sądziłem, że nie masz pan zamiaru zaszczycania mię twem zaufaniem — była niedbała odpowiedź.

— Teraz zmieniłem zamiar. Pozwól pan — i przy tych słowach opuścił znowu swą ciężką dłoń na ramię Walentego, — że cię biorę jako świadka, gdyż będę właśnie takowego potrzebował. Przyszedłem tutaj po to, by mrs. Barklay spłacić sumę, którą mi pożyczyła.

— Przyznać muszę, że to osobliwe miejsce do załatwienia pieniężnych spraw.

— To prawda, ale dla nas obojgu odpowiednie. Ona wzbrania się widzieć ze mną, okazuje do tego nieprzezwyciężony wstręt, do jakiego uprawnioną byćby mogła, mając przekonanie, że zabiłem jej męża. Od chwili swego aresztowania, nawet w więzieniu nie przestała odgrywać tej komedyi, jak gdyby chciała oszukać siebie samą.

— A później pożyczała panu pieniędzy.

— Dała mi przeszłej zimy dziesięć tysięcy funtów, spodziewając się tym sposobem tak swe sumienie jak i moją chciwość zadowolnić. Byłem wtedy w biedzie i przyjąłem pieniądze. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, abym teraz był bogatym, ale odnoszę jej sumę z procentem, dziękując Bogu, żem zrzucił z siebie hańbę podobnej jałmużny. Tak — teraz pan wiesz — i przy każdem słowie uderzał mocno po ramieniu Walentego — nie chcę mieć żadnego udziału w bogactwie pozostałem po moim wuju. Goniła za niem, by je posieść, zaprzedała dla niego swą duszę, lecz ja nie chcę należeć do spółki w tym niegodnym handlu.

Rzucił fajkę daleko od siebie, uderzył dłonią w dłoń, porwał się ze swego siedzenia, przeszedł pary razy tam i na powrót, usiadł następnie napowrót obok Walentego i rzekł: Pan będziesz mym świadkiem przy spłacie, jesteś człowiekiem, któremu ufać należy, a mój dobry geniusz — czasami myślę, że go mam, pomimo wszystkich djabłów, jakie we mnie siedzą — zesłał mi dzisiaj pana.

— Nie mogę pojąć, na co się panu mogę przydać — mówił Walenty z pewnem wahaniem. — Rzecz ta obchodzi jedynie pana i mrs. Barklay.

— Tak, ale ja tej damie nie dowierzam, mogłaby robić jakie wybiegi. Ale nie — dodał — gdy się nad tem zastanowię, widzę, że nie byłaby do tego zdolną.

— Możesz się pan zatem łatwo obejść bez mej usługi— zauważył Walenty.

— Nie wiem tego dokładnie, czy mogę, ponieważ jesteś tu pan właśnie, by się widzieć z mrs. Barklay, a — Boże, daruj mi — nie wiem, dla czego, lecz kto wie, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy się oboje razem z nią spotkali!

— Słuchaj pan, — rzekł Walenty, — nie ona to nadchodzi?

Oboje poczęli nadsłuchiwać pilnie i w rzeczy samej dał się słyszeć odgłos kroków.

— Ona musi nadejść od tej strony — rzekł Artur, wskazując w kierunku Hernley-hall — musi to być jakiś inny burzyciel pokoju, może nowy gość do pięknej wdowy — dodał śmiejąc się złośliwie.

— Przypuszczałem, że ona nadejdzie od tej strony.

— O, któż naprzód przewidzieć może, co ona zrobi! — rzekł Barklay — patrząc bystro w oczy Walentemu — jej całe życie jest jedną nieustającą zagadką.

Powiedziawszy to, wsparł łokcie na kolanach, podparł na nich brodę i zapatrzył się zamyślony w nocny krajobraz, nie zważając nawet, że Walenty powstał ze swego siedzenia, jakoby miał zamiar iść naprzeciw nadchodzącemu.

Kroki zbliżały się coraz bardziej, a w miarę tego stawały się wahające i niepewne — tak się przynajmniej Walentemu zdawało — raz czy dwa zatrzymały się nawet, a im więcej się zbliżały do tego miejsca, tem cięższemi i powolniejszemi się stawały. Wreszcie z pośród drzew wystąpiła ciemna, mocno otulona postać — Walenty postąpił ku niej.

— Mr. Merrick! — ozwał się szorstki głos — pan tutaj!

— Mrs. Graves! — zawołał Walenty w najwyższem zdumieniu.

— No, i cóż, że mrs. Graves? — była wyzywająca odpowiedź. — Nie ma ona większego prawa od pana znajdować się tutaj? I czy mogę zapytać, z jakiego powodu zatrzymujesz mię pan w drodze?

— Gdzie twoja pani?

— Gdzież ma być? W domu. Cóż panu do tego?

— Pani miałaś od niej zlecenie do mego przyjaciela, Percego Andison. Nie zapieraj się.

Osłupiała na chwilę. — Śledziłeś mię pan — rzekła oprzytomniawszy. — Dlaczegożbym się miała zapierać? Tak jest, widziałam się z mr. Andisonem.

— Wiedziałem to dobrze, — rzekł zjadliwie. — Powiedz twojej pani — nie, powiem jej sam. Pani jesteś kobietą, której nie dowierzam.

— Bobym jej też ani słowa nie powtórzyła z tego, cobyś jej pan kazał powiedzieć, jeżeli by to zranić miało jej biedne, skołatane serce. Zawszem ją przed twą nienawiścią osłaniała i nadal to czynić będę, o ile mi tylko sił starczy.

— Nie mam bynajmniej nienawiści do mrs. Barklay, ale muszę strzedz przyjaciela, którego ona w swe sidła zwabić się stara. Pani to wiesz dobrze.

— Tak, wiem — odrzekła lekceważąco. — Obawiasz się pan, aby mr. Percy Andison nie zaślubił Heleny Barklay i przez ten związek nie shańbił siebie i swej familii. Ale on to zrobi, panu na złość. Ja ci to mówię prosto w twe nienawistne ślepie!

— Żądam rozmowy z twą panią, zameldujesz mię natychmiast — rzekł stanowczo.

— Dolejesz tylko jednę kroplę goryczy do przepełnionej czasy — odpowiedziała z osobliwym spokojem, który teraz zajął miejsce poprzedniego rozdrażnienia — a potem skończy się twa władza na zawsze. Będziesz pan gorżko żałował roli, jaką odegrałeś w życiu biednego dziewczęcia. Nadaremnie czyhałeś na jej zgubę. — Zapamiętaj sobie te słowa starej kobiety.

— Nigdy nie czyhałem na jej zgubę.

— Sprowadziłeś nową niedolę tak na jej, jak na moją głowę, nie zapomnimy ci tego do grobu. Skoro chcesz mówić z moją panią, niechże tak będzie, chodź za mną.

Postąpiła parę kroków chcąc iść, gdy nagle jej spojrzenie padło na drugą postać przyczajoną na pniu sosnowym. — A ten tam drugi, któż to jest?

— Spotkałem go przypadkiem — odpowiedział Walenty.

Stara kobieta przystąpiła do siedzącego, pochyliła się nad nim, a spojrzawszy mu w twarz wydała przytłumiony okrzyk.

— Arturze, i ty tutaj, po tem wszystkiem, coś przyrzekł! — zawołała prawie błagalnie.

Zagadnięty powstał i przeciągnął się, jak człowiek, którego ze snu zbudzono. — Przyszedłem, aby oddać pieniądze — rzekł.

— Paneś przyszedł pieniądze oddać!!! — zawołała i napisałeś do niej.

— Tak, przed dwiema godzinami.

— Byłam nieobecną dłużej, jak dwie godziny, a ona pozostała przez ten czas samą. Jakże się musiała przestraszyć. O, gdybym wiedzieć mogła, co się z nią stanie, gdy mnie przy niej nie będzie.

— To twoja nieustanna troska, Jane. Niegdyś tak samo troszczyłaś się o mnie — mówił tonem pół szyderczym, pół życzliwym, jakim zwykł do niej przemawiać. — Pójdź, wszakże w tem nie ma nic tak dalece strasznego, że chcę mrs. Barklay zwrócić dziesięć tysięcy funtów, które mi była pożyczyła. Czegoż się lękasz?

— Ja się nie lękam — odpowiedziała .— Kto wie? może nawet dobrze, żeś przyszedł dzisiaj. Właściwie rada jestem temu.

Postąpiła naprzód i skierowała się ku pałacowi, prowadząc za sobą obu mężczyzn, lecz naraz zatrzymała się i skinęła na Barklaya, by się zbliżył.

— Byłam chora, mój chłopcze — rzekła. — Przed kilku dniami przestraszyłam się bardzo i tak to mię wstrząsnęło, że jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Podaj mi ramię.

— Musisz się czuć bardzo osłabioną, Jane, — rzekł — bobyś nie żądała takiej pomocy.

— Rzeczywiście, czuję się bardzo osłabioną.

Szli tak ręka w rękę i tak też ujrzała ich Helena z okna swego pokoju. Stała tam wyczekując, kogo jej los sprowadzi, przyjaciela czy wroga? Wiedziała, że oboje są blizko i że lada moment muszą się zjawić. Ale na taki widok nie była przygotowaną. Przelękniona usunęła się od okna, usiadła na kanapie i wcisnąwszy się w kącik, oczekiwała wejścia osobliwych gości. Nikt nie zapytał, czy wejść wolno; mrs. Graves wzięła na siebie odpowiedzialność, a jej wola była zawsze prawem w Weddercombe. Jakżeż to mało podobnem było do ciszy i spokoju, jakie sobie Helena obiecywała i co za okrutne szyderstwo wobec tego wszystkiego, co czyniła, by zatrzeć wspomnienie groźnej przeszłości. Czyż nie wyglądało to, jakoby jej opiekunka naumyślnie sprowadzała obu tych nienawistnych ludzi? Ich obu razem! Jakież nowe nieszczęście zawisło nad jej głową? Czyż była w stanie znieść więcej, gdy tamto ją złamało i wszelkie wysiłki były bezowocne? Czyż ma się zbroić do nowych zapasów, czy uledz pod ich brzemieniem? Przewalczyła tyle walk ze swymi wrogami, jeszcze przed dwoma dniami mężnie stawiła im czoło. Ale teraz czuła, że jej siły się wyczerpały. Musi uledz.

Mrs. Graves odgadła, co się dzieje w duszy młodej jej pani, bo zbliżyła się do niej i rzekła: Odwagi, Heleno! Przynoszę ci dobre nowiny w miejsce złych. Cokolwiekbądź dwaj ci mężczyźni powiedziećby ci mieli, będzie to zawsze tylko początkiem końca. Bądź pani silną jeszcze tylko parę godzin, błagam cię. (Ciąg dalszy nastąpi.)

...ĄZKOWY
...DA"
...KU NAR. POL.
...ON. PÓŁN. AM.

Jedyne, polityczne, niezależne pismo polskie za Oceanem, kierujące opinią publiczną i wywierające olbrzymi wpływ na stosunki polsko-amerykańskie.

TRZY WYDANIA: **Codzienne wydanie.** Tygodniowe dla mężczyzn. Tygodniowe dla kobiet.

Dziennik Związkowy „ZGODA", powinien się znajdować we wszystkich lokalach publicznych w kraju, jako najlepszy informator we wszelkich sprawach odnoszących się do Polaków za Oceanem.

8 stron, 28 kolumn oryginalnego tekstu codziennie.

Prenumerata wynosi rocznie dol. 4,80 ct. Półrocznie 2,40. Kwartalnie 1,20.

Na żądanie wysyłamy numery okazowe. Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy: Dziennik Związkowy „ZGODA" 102—104 W. Division str. Chicago, Ill. s. U. S. N. Am.

CYRKULACYA 100,000 EGZEMPLARZY.

Najpopularniejsze Czasopismo w Stanach Zjednoczonych prawdziwie odzwierciadlające życia polskiego w Ameryce. Zasilane stale interesującemi korespondencyami z każdego zakątka emigracyi polskiej w Ameryce. Największy i najstaranniej redagowany dziennik polski na obczyźnie.

Około

500

gotowych

warkoczy

i

1000-ce

innych dodatków włosowych stale na składzie poleca

SALON de PARIS

St. Kaczmarek

Rycerska 2, przy pl. Wilhelm.

Skład fryzyerski tylko dla pań

(dla panów osobny skład obok.)

Kobieca usługa. Panie nie potrzebują się więc absolutnie krępować. 449

Brązowe znaczki rabatowe. Zamiejscowym rabat w gotówce.





Ul. Bismarka 1. Tel. 2286.

Zieloni kołownicy.

Członek Stowarzyszeń posłańców pospiesznych w Dreźnie.

Bardzo szybkie załatwianie

wszelkich posyłek.

Odnoszenie i przynoszenie

kufrów i paczek.

Ceny umiarkowane. 5:2

Baczność!

Jedyny polski

zakład fotograficzny

w Poznaniu 103

w ręku fachowca.

S. STOLSKI

Poznań, ul. Szeroka 20 parter.

Telefon 790.

SPECYALNOŚĆ:

Portrety w wykonaniu artystycznem.

Szanownej Publiczności najuprzejmiej donoszę, iż

„mydło Zwierzyńskiego"

rzetelne, czysto - rdzenne, twarde, giętkie — nie kruszące się — przesuszam w suszarni opatentowanej 537

odtąd w ***kartonowem*** opakowaniu — ***patentowo zastrzeżonem*** wysyłać rozpocząłem i jest one wszędzie w ***odnośnych*** handlach do nabycia.

P. Zwierzyński,

Gniezno.

St. Klupieć, Poznań, ul. Szeroka 1



Jedyny na tym stopniu istniejący 432 zakład zegarmistrzowski, złotniczy i rytowniczy. Wielki wybór **zegarów, zegarków,** wszelkiej **biżuteryi** złotej i srebrnej, sztućców i zastaw.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1** marki począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33

Zakład dentystyczny

„Reform"

E. Karlewicz

Poznań, ul. Wrocławska 20 (przy placu Piotra.) 355

Wykonanie pierwszorzędne. Ceny nader umiarkowane. Operacye zębów bez bólu. Honoraryum według umowy.

„Ritterin"

(w urzędzie patentowym zastrzeżony)

najlepszy błyszczyk na obuwie **z fabryki chemicznej** 11

Z. Rittera Następcy

Poznań, Św. Marcin 20.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.